W numerze: JAN KOPROWSKI **W krainie jurt i kumysu** ● TERESA WOJCIECHOWSKA **Sezon i słuchacze** ● BOGDA MADEJ **Spadną, czy nie spadną — pytanie nadal aktualne** ● **Recenzje** ● **Nowela** ● **Rozstrzygnięcie konkursu „Wszystko o książce** ● **Zewsząd o wszystkim**

odgłosy

28 (764)
9. VII. 1972 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV

Nowa Dąbrowa *Fot. Z. Gorzkiewicz*

ZOFIA TARNOWSKA

Fundament pod zaporę pijaństwu

Nie raz na łamach „Odgłosów" zajmowałam się problematyką walki z alkoholizmem przedstawiając w artykułach i reportażach szczególny obraz miasta, skrzywiony bynajmniej nie fragmentarycznie w lustrze szklanych opakowań alkoholu. Postulowałam wielokrotnie — odkrywając źródła przyczyn i skutków zła, przybierającego apokaliptyczne rozmiary — radykalniejsze działanie, chociażby tylko przez respektowanie postanowień ustawy przeciwalkoholowej.

Niemal doskonały w założeniach, opracowany w szczegółach, chwalony za granicą nasz akt prawny — stał się z biegiem lat martwą literą, by wreszcie dziś, po 11 latach bierności, wracał do życia mocą najpierw intencji, a następnie uchwały Rady Ministrów w sprawie zaostrzenia walki z alkoholizmem.

Najwyższa pora. Alkoholizm — ogólnie mówiąc „wykonał swój plan" z zaskakującymi wynikami. Używając języka ekonomistów stwierdzamy, że wskaźnik spożycia alkoholu w przeliczeniu na statystyczną głowę Polaka, bez względu na płeć i wiek, wyniósł 5,3 litra czystego

Dalszy ciąg na str. 3

ANDRZEJ MAKOWIECKI

OPOLE 72

REJWACH W SPRAWIE DŁUGICH WŁOSÓW

Poprzez telewizyjne ekrany dziesiąty, jubileuszowy Festiwal płynął na pozór nudno i spokojnie, ale w rzeczywistości w rzece tej było dużo wirów. Zaraz po pierwszym koncercie rozmawiałem z Trubadurami i dowiedziałem się, że przyczyną, dla której skreślono ich owego dnia z programu, były długie włosy. Zrzeszone w interwizji kraje podpisały między sobą porozumienie, że występujący w składankach rozrywkowych piosenkarze przytną się na wysokości kołnierzyka i odsłonią uszy.

Podobno polskie władze kulturalne próbowały odwołać się od tych rygorów. Ale było już za późno. Toteż Rzeszewski — sam przecież z lekka zarośnięty i modnie ubrany — chcąc nie chcąc zarządził wielkie podstrzyżyny, a w przypadkach uporu — eksmisje.

Ponieważ jednak długowłosych było na Festiwalu znacznie więcej niż łysych (bronili się jak lwy), no a big-beat mógł ubarwić trochę nieprzebrany i mdławy potok piosenkarskich szmoncesów, znaleziono niebawem wyjście z trudnej sytuacji i już na drugi dzień, zamiast przyborów do golenia i nożyczek, poszły w ruch spinki, gumki, brylantyna i inne precjoza, dzięki którym bigbiciarska zgraja nabrała schludności, odcinając się zdecydowanie od powiewających lwimi grzywami piłkarzy, przeciw którym interwizja nie poczyniła dotąd najmniejszych nawet kroków.

Tak czy owak długowłosi sami sobie szkodzą. Wypadają z głównego festiwalowego nurtu. Tłuką się konspiracyjnie na marginesach wielkiej imprezy. Ot, nikt nie wie, że w nocy z piątku na sobotę śpiewał w amfiteatrze Stan Borys, który jest obecnie tak dyskryminowany, jak niegdyś Niemen i którego piosenka o Bieszczadach („Ikona"), całkowicie pominięta przez jurorów, była dla mnie najpiękniejszym i najambitniejszym utworem Opola 72. Nikt nie wie, że na tym samym koncercie wystąpił o trzeciej nad ranem WIELKI CZESIO, nie zdobywając sobie jednakże oczekiwanego poklasku. Wszyscy natomiast dobrze wiedzą, że w sposób bezpodstawny lansowano na Festiwalu niejaką pannę Kubicką, a śpiewaną przez nią melodię (numer partytury: 120) przeklinali zgodnie muzycy i słuchacze, jako że na próbach była bez przerwy, do znudzenia powtarzana, natomiast na koncercie, mimo wszystko, „nie wyszła", co nie przeszkadzało zresztą „Gazecie Festiwalowej" w wysunięciu optymistycznej prognozy: „będziemy mieli z niej (z Kubickiej — A. M.) pociechę". (Tak jest. Kto będzie, to będzie — A. M.).

W odróżnieniu od poprzednich Festiwali, werdyktów jury nie podawano z dnia na dzień, lecz czekano z tym cierpliwie do finałowego koncertu, który odbył się

Dalszy ciąg na str. 4

ŚWIATA

Pod tytułem: „Realna droga do pokoju" po raz pierwszy od objęcia urzędu prezydenckiego R. Nixon opublikował swój artykuł. Jest to, jak pisze w notce poprzedzającej redakcja „US News and World Report", „analiza amerykańskiej polityki zagranicznej".

Lektura tego obszernego artykułu prowadzi do wniosku, że publikacja służy głównie listopadowym celom wyborczym, gdyż jego autor stara się wykazać, jak wiele zrobił dla Stanów Zjednoczonych w okresie swej prezydentury, jak dostosowywał amerykańską politykę zagraniczną do nowej sytuacji dyplomatycznej. „Dostosowanie takie w jego najprostszej formie wymagało położenia większego nacisku na negocjacje z naszymi przeciwnikami i na partnerstwo z naszymi sojusznikami" — pisze Nixon.

Artykuł przynosi m. in. ocenę wizyt prezydenta USA w Pekinie i Moskwie, pierwszą określając jako „przerzucenie mostu nad przepaścią, stworzoną przez 20 lat gorzkiego milczenia", drugą „jako dowód nowej dojrzałości i stabilizacji stosunków amerykańsko-radzieckich".

Prezydent USA wiąże duże nadzieje z porozumieniami, zawartymi w Moskwie, nazywając je „dobrą bazą dla dalszego postępu", „zmierzaniem do porzucenia wrogiej przeszłości na rzecz bezpieczniejszego i bardziej otwartego świata".

Oddzielny fragment artykułu poświęcił Nixon problemowi wietnamskiemu. Tłumacząc militarne decyzje, podjęte 8 maja (chodzi o zaminowanie portów DRW), zmasowaną inwazją wietnamską — Nixon w istocie przyznaje, że sytuacja jest poważna, a reżim sajgoński został zagrożony.

Prezydent USA powtórzył w swym artykule warunki wstrzymania akcji zbrojnych oraz całkowitego wycofania wojsk amerykańskich z Wietnamu. Propozycje swoje nazywa „wspaniałomyślnymi warunkami". Realizm przejawiony wobec problemów światowych, w różnym zresztą stopniu, w innych fragmentach artykułu, tutaj nie występuje. To podkreślenie jest tym bardziej istotne, ponieważ tuż po tej publikacji Stany Zjednoczone wyraziły zgodę na wznowienie konferencji paryskiej 13 lipca. Jeśli stwierdzenia prezydenta nie będą miały elastycznej interpretacji — 150 posiedzenie w Paryżu może znów nie przynieść postępu. Aby tak się nie stało — podkreślił rzecznik delegacji DRW — administracja Nixona musi się wyrzec „swego agresywnego i neokolonialistycznego stanowiska, porzucić swą pełną uporu pozycję i negocjować poważnie".

W licznych kołach politycznych z uzgodnieniem terminu wznowienia paryskich rokowań wiąże się nadzieje na postęp. Wynikają one jednak przede wszystkim z ogólnej atmosfery odprężeniowej.

Skoro już mówimy o problemach azjatyckich — odnotujmy w kolejności inne ważne wydarzenie tygodnia — indyjsko-pakistańskie spotkanie na szczycie, pierwsze od stycznia 1966 roku czyli od słynnej konferencji w Taszkiencie. W rozmowach Indiry Gandhi i Zulfikara Ali Bhutto najpoważniejszymi problemami są: modyfikacja granic indyjsko-pakistańskich, przyszłość Kaszmiru oraz repatriacja prawie 100 tysięcy jeńców pakistańskich. Pierwsza z wymienionych kwestii jest chyba najtrudniejszą, chociaż również problem Kaszmiru wywołuje ostre różnice zdań. Szefowie dwóch państw przybyli jednak do Simli z wolą zlikwidowania konfliktów, które w obu krajach pochłaniają wielkie sumy tak bardzo potrzebne na rozwój gospodarczy.

Przed oddaniem komentarza do druku nie ogłoszono jeszcze komunikatu o rozmowach. Z pewnością dojdzie do kolejnej konferencji, na której po ograniczonym wstępnym porozumieniu będzie można rozważyć konkretne problemy. Spotkanie w Simli zapoczątkuje jednak proces łagodzenia napięcia między obu krajami.

W Europie tymczasem uwagę w ostatnich dniach zwracały dwa wydarzenia: XII Kongres Międzynarodówki Socjalistycznej oraz następstwa kryzysu funta.

W wiedeńskich obradach Międzynarodówki uczestniczyli delegaci partii socjaldemokratycznych z 29 krajów, a wśród nich premierzy Austrii, Norwegii, NRF, Szwecji... Przyjęte przez Kongres rezolucje sygnalizują ewolucję poglądów tych partii na bezpieczeństwo europejskie, wojnę indochińską oraz rozwój krajów tzw. trzeciego świata. Postulują one rychłe zwołanie europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy oraz wzywają rząd USA do natychmiastowego przerwania działań wojennych i pokojowego rozwiązania problemu Wietnamu. Natomiast Kongres nie zajął żadnego stanowiska wobec sytuacji na Bliskim Wschodzie, co być może wynika z faktu udziału w obradach premiera Izraela.

W ub. tygodniu pisaliśmy o decyzjach w sprawie funta szterlinga. Jak można było oczekiwać — decyzje te mają poważne implikacje w całym świecie zachodnim. Komentatorzy podkreślają, iż jest to trzeci i potencjalnie najgroźniejszy kryzys walutowy na przestrzeni ostatnich trzynastu miesięcy. Nadszedł on w momencie, kiedy dolar nie zdążył jeszcze odnieść jakichkolwiek korzyści z grudniowej dewaluacji. Kolejny kryzys odsłania wszystkie linie podziału w EWG i zagraża w pierwszej kolejności włoskiemu lirowi i duńskiej koronie.

Przegląd wydarzeń zakończę przypomnieniem komunikatu Watykanu o ustanowieniu w Polsce nowych diecezji, czyli o faktycznym uznaniu przez Stolicę Apostolską zachodnich granic Polski. Uporządkowanie prawno-kościelnego stanu w zachodnich i północnych rejonach naszego kraju kładzie kres dotąd utrzymywanej przez Watykan tymczasowości i ma ważką wymowę polityczną.

W. SŁAWSKI

Wydarzenia w Alcantara

„FIGARO" — PARYŻ

Tylko dzięki przypadkowi — burzy z ulewnym deszczem, port Lizbona uniknął bezprecedensowej katastrofy.

Było to nocą z 11 na 12 stycznia br. Dwa potężne ładunki dynamitu umieszczono w skrzynkach z amunicją, przygotowaną do wysłania do Angoli. Ładunki miały eksplodować po załadowaniu ich na pokład statku „Luxima", stojącego na redzie portu Alcantara. Z powodu złej pogody załadunek wstrzymano. Wybuch nastąpił w magazynach, było to prawdziwe piekło.

Nazajutrz redakcje pism lizbońskich otrzymały ulotki z podpisem portugalskiej organizacji podziemnej ARA (Zbrojny Ruch Rewolucyjny). „Zbrojny Ruch Rewolucyjny będzie kontynuował walkę przeciwko faszyzmowi i kolonializmowi, solidaryzując się w całej rozciągłości z bohaterską walką narodów terytoriów zamorskich o prawo do wolności" — brzmiało oświadczenie sztabu organizacji.

Cenzura osiągnęła swój cel: incydent w lizbońskim porcie przewinął się przez szpalty zagranicznej prasy prawie niezauważony.

Metoda przemilczania i tuszowania, którą tak szeroko stosował Salazar (trzy lata temu odszedł z areny politycznej), najwidoczniej nic nie straciła z efektywności, także przy jego następcy Marcelu Caetano. A tymczasem to, co się dzieje w Portugalii już od pierwszych miesięcy 1971 roku przyciągnęłoby z pewnością uwagę światowej opinii publicznej.

Ustalmy najważniejsze wydarzenia w porządku chronologicznym:

8 marca 1971 roku, baza lotnicza Tanquch, około 50 km od Lizbony, była widownią śmiałej operacji komandosów. O świcie, trzynaście gigantycznych śmigłowców „SA-330" oraz kilka wojskowych samolotów odrzutowych, stojących w głównym hangarze, wyleciało w powietrze. Ładunki wybuchowe umieszczono w każdym z samolotów i eksplozja nastąpiła jednocześnie. W komunikacie ARA — pierwszym, który ogłoszono, chociaż bomby wybuchały już i w październiku i w listopadzie 1970 roku w kilku strategicznych punktach stolicy — podkreślano, że „ogromną rolę w powodzeniu operacji odegrały antykolonialne nastroje, które rozprzestrzeniają się wśród portugalskich żołnierzy". Istotnie, wielu młodych podoficerów tego ważnego ośrodka szkoleniowego zdezerterowało.

3 czerwca 1971 roku w Lizbonie obradowała Rada Atlantycka. Niewielki oddział, czterech czy pięciu ludzi, ubranych w uniformy wojskowe bez przeszkód przedostał się do centrum łączności, w samym sercu stolicy, i najspokojniej w świecie założył ładunki wybuchowe w sali dalekopisów. Operację uwieńczył pełny sukces.

17 lipca 1971 roku — panika w Santarem... Przez 48 godzin w tym małym — sąsiadującym z Lizboną — miasteczku, w ktorym znajduje się wojskowa szkoła kawaleryjska, grzmiały wybuchy. Jeden po drugim wylatywały w powietrze składy z bronią i amunicją. Były to punkty tranzytowe zaopatrzenia wojskowego, kierowanego drogą morską i lotniczą do terytoriów zamorskich.

26 października 1971 roku. Nazajutrz miało się odbyć uroczyste otwarcie nowego gmachu Iberyjskiego Dowództwa NATO (Iberland) w Oeirache, w pobliżu Estoril. Uroczystość odbyła się przy wybitych szybach; zamachowcy uprzedzili oficjalnych gości...

8 listopada 1971 roku. Tym razem, podobnie jak w Tanquch, przeprowadzono wielką operację. Vis a vis stolicy, na przeciwległym brzegu Tagu, spowodowano poważne straty w tajnej bazie podziemnej. Wybuch mocnego ładunku na głębokości dwunastu metrów bywa bezlitosny... Według oficjalnych informacji, obiekt ten znajduje się w dyspozycji NATO.

W związku z tym wydarzeniem pojawia się nazwa nowej organizacji podziemnej Tym razem nie ARA informuje, że to ona dokonała dywersji, lecz BRA — „Organizacja Brygad Rewolucyjnych". Tajna policja — przesławna PIDE Salazara, którą przekształcono obecnie na Generalną Dyrekcję Bezpieczeństwa — zupełnie straciła głowę. Rzecz w tym, że obie te organizacje nie pozostawiają żadnych śladów.

Jak mówi się w kołach najbardziej oficjalnych, tym razem przeciwko istniejącemu ustrojowi „występują nie dyletanci". Zarówno ARA jak i BRA podkreślają, że nigdy nie dokonują zamachów na życie ludzkie. Dotąd udawało się to. Oddział komandosów nie jest, oczywiście, liczny. Ale, jak świadczy o tym wyraźnie incydent w Tanquch, mają oni bliskich współpracowników w armii portugalskiej, rozdętej do nieprawdopodobnych rozmiarów z uwagi na konieczność „utrzymywania porządku" w Afryce: „Poborowi" służą w wojsku cztery lata.

Rzecz jasna wszystko to niepokoi Caetano o wiele bardziej, niż przyznaje się do tego oficjalnie.

Nowa koncepcja Europy

„MONDE" — PARYŻ

Ratyfikacja przez zachodnioniemiecki Bundestag umów między ZSRR i NRF oraz NRF i Polską oznacza przejście do nowej koncepcji Europy. Kanclerz Adenauer musiał się przewrócić w grobie, kiedy Niemiecka Republika Federalna faktycznie uznała swoje obecne granice i istnienie dwóch państw niemieckich. Oczywiście, nawet w jego wyobrażeniu, koncepcja nowej Europy nie wiązała się z odstąpieniem Rosjan poza Kaliningrad (dawniej Koenigsberg) i Polaków poza linię Odra-Nysa. Twardo podtrzymując zasadę nieuznawania istniejących granic, Adenauer usiłował powstrzymać swoich ziomków i innych Europejczyków z Zachodu od jakichkolwiek prób zbliżenia z ZSRR. Europa Adenauera była w swym założeniu Europą antykomunistyczną.

Były boński kanclerz zabiegał o zwiększenie potencjału wojennego Zachodniej Europy, by zapobiec „wtargnięciu", które, jak był przekonany, groziło przede wszystkim NRF. Dążenie USA do uzbrojenia Europy doprowadziło do prób utworzenia europejskiego sojuszu obronnego, które jednak skończyły się fiaskiem. Następna próba integracji przesunęła się na inny tor, nie mniej trudny i doprowadziła koniec końców do porozumienia w Rzymie (o utworzeniu Wspólnego Rynku — red.).

Tymczasem na kontynencie rozpoczął się proces rozładowania napięcia, który ujawnił antyradziecki charakter zachodnioeuropejskich koncepcji. Istniał także i inny element głównego projektu tej konstrukcji: ponadnarodowość. Kontynuując politykę nieuznawania istniejących granic (aby przeszkodzić zbliżeniu z Moskwą), Adenauer miał jednocześnie nadzieję na „rozpuszczenie" Republiki Federalnej w łonie jakiegoś zjednoczonego „superpaństwa".

Teraz Wielka Europa byłaby gotowa do zastąpienia „Małej Europy", Europę otwartą, niehermetyczną, zastąpiłaby Europa antyradziecka, Europę ojczyźnianą, Europa ponadnarodowościowa, a Europę niepodległą zastąpiłaby Europa podporządkowana Amerykanom.

Polityka odprężenia prowadzi do zbliżenia ze Wschodem, co z kolei uzdrawia sytuację polityczną na kontynencie.

Siedemdziesiąte lata bliższe są duchowi generała de Gaulle'a, niż innemu francuskiemu politykowi — R. Schumanowi, który był jednym z inicjatorów stworzenia w Zachodniej Europie zamkniętych, międzypaństwowych ugrupowań monopolistycznych oraz autorem tzw. „planu Schumana", zgodnie z którym w początkach lat pięćdziesiątych utworzono Europejskie Zjednoczenie Węgla i Stali.

Co dziś uczyniłby Schuman gdyby żył? Prawdopodobnie próbowałby powstrzymać obecną ewolucję, zamiast ją przyśpieszać. Ale nie mógłby jej przeszkodzić w rozwoju, ponieważ w większej mierze dyktują ją okoliczności, niż ludzie. Jeśli by nawet nie torował drogi polityce zbliżenia ze Wschodem, nasi europejscy partnerzy i tak by na nią weszli: zmusiłby ich do tego nieodzowność rozwoju handlu i kryzys dolara.

Europa lat pięćdziesiątych sterowała przeciwko Związkowi Radzieckiemu i jego rzekomemu wojskowemu i politycznemu zagrożeniu. Na kształtowanie się nowej Europy wpływają, w dużym stopniu, jej zmagania z imperializmem walutowym, zagrażającym zachodnioeuropejskiej ekonomice.

Zachodnia Europa nie może się stale uchylać od rozwiązania problemu wojskowego, chroniąc się pod jądrowym parasolem organizacji NATO, która przeżywa się coraz bardziej. Społeczeństwo europejskie musi spoglądać z nowego punktu widzenia na problemy utworzenia własnego, europejskiego systemu bezpieczeństwa.

Eksperyment po angielsku

„OBSERVER" — LONDYN

Kobietom angielskim udało się wreszcie zdobyć jedną z „najmocniejszych twierdz męskich przywilejów" Od października 1974 r. do pięciu koledżów uniwersytetu Oxfordzkiego, obok chłopców, będą także przyjmowane dziewczęta. Dotąd na uniwersytecie istniały zaledwie dwa żeńskie koledże, z których dyplomy dostąpiły zaszczytu zrównania z „męskimi" zaledwie dziesięć lat temu.

W Oxfordzie nigdy nie lubiano kobiet. Tak, tak, w trosce o moralność studentów władze uniwersyteckie uzurpowały sobie prawo aresztowania tych studentek z żeńskich koledżów, których obyczaje mogłyby się wydać gorszące, a wykładowcy w Oxfordzie dopiero od niedawna otrzymali pozwolenie na zawieranie związków małżeńskich.

Zresztą Oxford i teraz nie kwapi się do rozwodu z purytańskimi obyczajami. Przecież obecna decyzja o przyjmowaniu kobiet do „męskich" koledżów nie jest ostateczna: jest to „eksperyment", obliczony na pięć lat.

W KILKU ZDANIACH

▲ Piloci włoskiej companii lotniczej ATI i „Alitalia" postanowili bojkotować szereg włoskich lotnisk: nie będą na nich lądować ani podczas złej pogody, ani w nocy. Do podjęcia takiej decyzji zmusiła lotników stale rosnąca liczba katastrof, spowodowanych brakiem bezpieczeństwa technicznego w wielu portach lotniczych. „Umieściliśmy na „czarnej liście" szesnaście lotnisk" — powiedział jeden z pilotów.

▲ W pierwszym kwartale bieżącego roku liczba urodzeń w Stanach Zjednoczonych spadła do najniższego poziomu w historii tego kraju i obecnie przyrost naturalny w USA jest prawie równy zeru. Specjaliści twierdzą że ta wstrzemięźliwość Amerykanów wynika z braku stabilizacji ekonomicznej, wzrostu bezrobocia i kosztów utrzymania.

▲ Jak donosi gazeta „Volksstimme", powołując się na jedno z wystąpień ministra budownictwa i techniki — Mosera, w Austrii brakuje obecnie ponad 400.000 mieszkań. Gazeta podkreśla, że kroki podjęte przez rząd w celu zmniejszenia deficytu w tym zakresie są daleko nie wystarczające.

▲ Liczba gondolierów w Wenecji zmniejsza się z roku na rok. Władze miejskie zaniepokojone tym faktem, jako że gondolierzy przyciągają do miasta tysiące zagranicznych turystów, poszły wreszcie na rękę 500 przewoźnikom, zezwalając na utworzenie organizacji zawodowej, która odtąd będzie bronić ich interesów przed wyzyskiem właścicieli łodzi. Postanowiono także zorganizować specjalne kursy dla gondolierów, na których będą się oni uczyć języków obcych i historii Wenecji.

▲ W Peru przeprowadza się w dalszym ciągu reformy agrarne. Niedawno w departamencie Ica, wielkich właścicieli ziemskich wywłaszczono z dalszych 1750 ha ziemi. Z tej liczby 1500 ha przekaże się indiańskiemu plemieniu Chipibos, które po raz pierwszy w historii tego kraju otrzyma ziemię od państwa.

FUNDAMENT POD ZAPORĘ PIJAŃSTWU

Rys. J. Parlis

(Dalszy ciąg ze str. 1)

alkoholu (w 1956 r. — 3,4). Obyczaj upijania się nie dosięgnął jeszcze dzieci w wieku przedszkolnym, ale zaraza dotknęła już uczniów szkół średnich i zawodowych. Jeżeli nie wódka, to wino zwane „beltem" lub „patykiem pisanym", ze względu na niską cenę i skuteczne macenie w głowach — stało się napitkiem awangardowym w młodzieżowych kręgach. Stało się wbrew oczywistym zakazom, bo chociaż ustawa zabrania sprzedaży napojów alkoholowych młodzieży poniżej 18 lat — to nie ma żadnych sposobów na to, żeby poza miernikiem wizualnym stosować selekcję nabywców zgodnie z kryteriami wieku. A zresztą — grupy dobierające się celem wspólnego spożywania alkoholu zawsze mają „delegata", któremu 18-letnia pseudodojrzałość zezwala na manifestowanie urzędowo akceptowanego prawa do kupowania alkoholu. A poza tym sama sprzedaż: alkohol — towar nie przeżywający żadnych klęsk podaży — jest artykułem łatwiejszym do nabycia niż pęczek pietruszki, usytuowanym honorowo w obrotach handlu artykułami spożywczymi i decydującym o materialnych efektach personelu, sprzedającego napitki tak w sklepach, jak i w ekspozyturach gastronomii. Nie wymyślono prawidłowszych form materialnego zainteresowania ludzi z tych branż dla łamania sobie głów nad przysparzaniem zysków sklepom i restauracjom. Stąd butelka i kieliszek znajdowały się w randze uprzywilejowanych — wbrew oczywistym interesom społecznym, a sieć punktów sprzedaży alkoholu gęsto i mocno spowiła miasto, bez wybierania lokalizacji pod kątem sąsiedztwa zakładów pracy, szkół czy innych placówek życia publicznego.

Uchwała Rady Ministrów kładzie kres i dowolności i pierwszeństwu handlowi napojami alkoholowymi, ogranicza ilość punktów sprzedaży i eliminuje alkohol z wpływów na obroty handlowe.

Alkohol, płynąc szerokim nurtem, wyżłobił sobie koryta w nieoczekiwanych miejscach, np. w miejscach pracy. Rekordy spożywania wódki, wina, piwa bije branża budowlana. Z miejsc wznoszenia nowych inwestycji, czy to będą osiedla mieszkaniowe, czy zakłady pracy, czy domy użyteczności publicznej lub kapitalne remonty, zbieracze workami znoszą puste butelki do punktów skupu. Dzieci też chętnie się tym parają. Na ulicy Nowotki — tuż obok Matejki — znajduje się taki punkt. Niemal codziennie olbrzymia ciężarówka zabiera stamtąd setki butelek. Codziennie do punktu ciągnie korowód dostawców opakowań. Zapełnia wnętrze po brzegi. Jest jednak skąd znosić opróżnione opakowania. Tu stawia się nowe bloki, tu rozbiera się rudery. Tu się pije! Jaki to ma wpływ na wydajność pracy, jej jakość, dyscyplinę — wiadomo. **A ile wypadków przy pracy ma swe źródła w pijaństwie!** Raz po raz sądy biorą na wokandy makabryczne sprawy, a Izba Wytrzeźwień daje statystyczne pierwszeństwo reprezentantom branży budowlanej: 30 proc. Tej też branży przypada niemały udział w rozpijaniu młodocianych. Pierwszy krok w pracy, młody człowiek kwituje pijaństwem w gronie zespołu, który go przyjmuje. Sam zespół, któremu przewodzi majster czy brygadzista, daje do zrozumienia, że taki zwyczaj należy respektować, szanować i praktykować jak najczęściej, chociażby z okazji każdej wypłaty. Stare murarskie poniedziałki, które oznaczały niedyspozycję lub nieobecność w pracy po niedzielnym pijaństwie, rozparły się na wszystkie dni tygodnia. Nie pije się tylko po pracy, pije się w pracy. Praktyka pracowników budownictwa rozszerza się na inne branże, na zakłady zamknięte, na poszczególne oddziały. Za wódkę postawioną temu i owemu można uzyskać lepszą pieczę nad maszyną, lepszy surowiec, lepsze stosunki. Wódka stała się bardzo potrzebna, tak bardzo, że w niektórych zakładach stworzono ciche bufety, doskonale zaopatrzone i przysparzające znacznych dochodów przedsiębiorczym „zaopatrzeniowcom". **Ileż to pożarów, ile kradzieży miało miejsce z powodu pijaństwa portierów, nocnych stróżów i dozorców, odpowiedzialnych za mienie społeczne, zawodowo zobowiązanych do trzeźwości, a praktycznie zapitych przez dnie i noce.**

Uchwała zobowiązuje m. in. kierowników jednostek gospodarki uspołecznionej do przeprowadzenia analizy w zakresie przestrzegania zasad trzeźwości przez pracowników, a w przypadku narastania problemu, do opracowania własnych programów walki z pijaństwem i alkoholizmem oraz egzekwowania przepisów, zabraniających spożywania alkoholu w czasie pracy. Obawiam się, że takie programy trzeba będzie opracować w co drugim zakładzie pracy. I jednocześnie wydaje się niezbędne poddać analizie udział niektórych pracowników w rozpijaniu nieletnich — chociażby ze szkół przyzakładowych — młodzieży wzorującej się na starszych, jeżeli nie będącej pod ich czynnym wpływem.

Uchwała, kategorycznie stawiając problem pijaństwa w czasie pracy, zaleca kierownictwu zakładów wyciąganie ostrych konsekwencji administracyjnych i personalnych w stosunku do osób wprowadzających się w stan nietrzeźwości w pracy, niezależnie od zajmowanego przez nie stanowiska.

Równie ostro stawia się problem rozpijania nieletnich. Minister Sprawiedliwości został zobowiązany do wystąpienia do Sądu Najwyższego o wydanie odpowiednich wytycznych dla sądów w sprawie orzecznictwa za przestępstwa związane z pijaństwem i alkoholizmem, ze szczególnym uwzględnieniem przestępstwa rozpijania nieletnich. Spodziewam się tu trudności nie tyle w orzekaniu kary, ile w wykrywaniu tego rodzaju przestępstw. Należałoby prześwietlić wiele rodzin, w których ojcowie traktują wódką nawet małe dzieci, a w ilu domach święci się dojrzałość dziecięcia (Boże się pożal, co to za dojrzałość psychiczna w 18-tym roku życia) upiciem go do nieprzytomności. Jak wkroczyć do tych rodzin? Trzeba by tuzinami zabierać ojców, albo dzieci, żeby przeciąć alkoholowy ciąg wychowawczy. Nie pomoże bowiem wprowadzenie do programu nauczania powszechnego w szkołach podstawowych, ogólnokształcących i zawodowych, minimum wiadomości o ujemnych skutkach spożycia alkoholu i o potrzebie przeciwdziałania złym tradycjom w tym zakresie — jeżeli dom będzie reprezentował czynnie, a chociażby tylko biernie, przeciwne stanowisko.

Widzę trudności z wykonywaniem kar, orzeczonych za przestępstwa związane z pijaństwem. 70 proc. przestępstw w ogóle, a 90 proc. chuligańskich — wywodzi się w prostej linii z pijaństwa i alkoholizmu. Słuszne jest postanowienie Rady Ministrów o organizacji lecznictwa odwykowego w zakładach karnych, ale też obok leczenia należałoby stosować terapię pracą w takich wymiarach i kary tak odczuwalne, żeby odbywanie kar nie wchodziło do programu życiowego przestępcy, bo recydywa w tym rodzaju przestępstw jest ogromna.

Należy z wielkim zadowoleniem przyjąć postanowienie uchwały zobowiązującej prezydia rad narodowych w wielu miastach wojewódzkich (także w Łodzi) do budowy zakładów lecznictwa odwykowego dla alkoholików z uwzględnieniem rehabilitacji pracą. To postanowienie zawarte jest w ustawie przeciwalkoholowej i trzeba było przypomnieć je teraz, po 11 latach. Aktualnie 10 proc. ogółu alkoholików, wymagających leczenia szpitalnego, może być hospitalizowana. Wykonanie orzeczeń sądowych o przymusowym leczeniu wynosi nawet nie 50 proc. (efekty — to osobna sprawa). W województwie łódzkim mieliśmy przed wielu laty zakład leczenia odwykowego o terapii pracą (w Głazie — „Odgłosy" postulowały jego powołanie i należytą organizację). Rozleciał się. Jeżeli zakłady takie nie będą posługiwały się regulaminami karnymi — nie ma co oczekiwać skuteczności ich działania.

Uchwała zobowiązuje także do wybudowania 40 Izb Wytrzeźwień w kraju. Takie jest „zapotrzebowanie pijackie", bowiem dla jednej trzeciej osób, zatrzymywanych przez MO w stanie nietrzeźwym, brakuje miejsc i muszą znosić niewygody trzeźwienia w aresztach milicyjnych. Może te inwestycje przyczynią się do złagodzenia problemu pijaństwa, ale jestem zdania, że lepszy skutek osiągnęlibyśmy profilaktyką, polegającą na zastosowaniu zakazu o pojawianiu się w stanie nietrzeźwym w miejscach publicznych. **Karna represja za łamanie tego zakazu powstrzymałaby może falę przestępstw chuligańskich i wypadków drogowych.** Ciągle na czołowym miejscu przyczyn tych wypadków, odliczanych w tysiące w skali miesięcznej, jest stan nietrzeźwości, przy czym punkt ciężkości przesunął się wyraźnie z kierowców na pieszych. Święte krowy toczące się po ulicach, jezdniach, drogach publicznych, wsiadające i wysiadające ze środków miejskiej lokomocji — to wzrastające zagrożenie bezpieczeństwa publicznego. Ładowanie ich do Izb Wytrzeźwień następuje często po tragicznym wydarzeniu, jeżeli nie interweniuje najpierw pogotowie ratunkowe, w tym najczęściej karetka reanimacyjna. Izby potrzebne są tak czy siak, przede wszystkim zaś do lokowania w nich wyciąganych z domów pijaków-awanturników, maltretujących żony i dzieci. Tylko, że jedna noc na korzyść rodziny, to za mało. Izba w takich wypadkach powinna z urzędu kierować oskarżenie do sądu. Brak konsekwencji wobec takiego osobnika (rodzina skrępowana jest najczęściej sytuacją szantażową z jego strony) sprawia, że staje się on stałym bywalcem Izby. Zresztą Izba ma stałych bywalców także z innych źródeł. Nocują po dwadzieścia i więcej razy. Wobec nich należałoby zastosować tryb postępowania karnego, a nie hołubić gołąbeczki na społeczny koszt, bo wypłacalni oni nie są, a jeżeli tak — to kosztem rodziny i tak okradanej przez pijaka.

Uchwała zobowiązuje Ministra Przemysłu Spożywczego i Skupu do podjęcia produkcji wódki czystej o zawartości 35 proc. alkoholu w ilości uzgodnionej z Ministrem Handlu Wewnętrznego, przy zachowaniu odpowiedniej relacji cenowej. **Być może to dobry pomysł, ale chciałam przypomnieć, że „patykiem pisane" i jemu podobne wina — o niskiej zawartości alkoholu i odpowiednio niskiej cenie — są ulubionym napojem młodzieży i zubożałych pijaczków, którym brakuje na „czystą". Jeżeli można coś zaproponować, to uważam, że owe wino powinno być skreślone z produkcji. W ogóle. To jest trucizna.** Uzyskuje się za jej olbrzymi popyt bardzo dużo pieniędzy, ale ile się traci nie tylko pieniędzy, lecz i innych wartości na skutek jego spożywania? Czy ktoś pokusił się o obliczenie społecznych kosztów? Może to zrobią zakłady naukowe, które, zgodnie z postanowieniem uchwały, mają być włączone do prowadzenia badań naukowych z zakresu problematyki pijaństwa i alkoholizmu przez Ministra Oświaty i Szkolnictwa Wyższego. Może to zrobi zespół ekspertów, których ma powołać Przewodniczący Stałej Komisji Rządowej do Spraw Walki z Alkoholizmem w porozumieniu z Sekretarzem Naukowym PAN, Ministrem Oświaty i Ministrem Zdrowia, jako organu doradczego dla oceny problematyki i zgłaszania wniosków.

Pragnę zaproponować temu zespołowi zajęcie się przede wszystkim odkrywaniem źródeł pijaństwa i przeglądem jego bastionów (np. niepokojących melin, rodzin alkoholików, w których dzieci cierpią od niemowlęctwa na nerwice, a następnie stają się psychopatami i przestępcami). Tylko jedna dzielnica Łodzi — Bałuty — mogłaby stanowić studium dla kilku zespołów ekspertów, reprezentujących wszystkie resorty. Taki przegląd samego dna życia byłby impulsem, wyzwalającym twórcze, bezkompromisowe działanie lecznicze i zapobiegawcze w walce z pijaństwem i alkoholizmem.

ZOFIA TARNOWSKA

STANISŁAW KASZYŃSKI

Z zapisków jugosłowiańskich (II)

2. XII.

Ponownie w Belgradzie. Tym razem na dwa miesiące, stypendium, zajmuję się pewnym dramatopisarzem serbskim z I połowy XIX w., zachwycał się jego dramatem Mickiewicz w wykładach paryskich, barwna legenda o tym pisarzu na miarę i barwę romantyczną zasłoniła jego dzieło, zamierzam je ponownie oświetlić. Tymczasem z samolotu — na weselisko. Wychodzi za mąż córka znajomych, poznali się wcale niedawno w Niemczech, chcę napisać — „na robotach", zatrzymuję pióro, bo natychmiast wkręca się przymiotnik „przymusowe", co już zupełnie nie odpowiada obecnej rzeczywistości. Ślub odbył się przed południem, cerkiewny i świecki, teraz tylko poczęstunek (termin najstosowniejszy), bez młodej pary. Istotnie: kilka butelek wina, słonecznikowa rakija, pieczone prosię plus dodatki w tonacji pieprzno-szafrannej. Nie obszczekuję, lecz kudy do zastaw polskich, arcyobfitych, rabelaisowskich, gdzie to na łeb... Więc tematem prowadzącym nie żarło bynajmniej, tylko śpiew przy gitarze i najświeższe ploteczki. Repertuar wyłącznie ludowy, także trochę piosenek wioskowych z czasów pierwszej wojny światowej (m. in. z frontu soluńskiego, gdzie mocno skrwawili się Serbowie), miłość, walka, śmierć, poprzelatane poznaniem i rozstaniem: takie fabuły najwdzięczniej osmętniają dusze. Z gitarą — starszy pan, na „gościnnym etacie" śpiewaka, muzyka i kucharza. Głos dskonale postawiony, głęboki, o ciemnej, intensywnej skali. Śpiewają wszyscy ochoczo, ze swoistym przejęciem, znajomość melodii i tekstów powszechna, nawet wśród młodych, czego np. nie mógłbym powiedzieć o moich rodakach poniżej dwudziestki. To sprawa domu, ale i sprawa radia, co najmniej 30 proc. programów radiowych zagarnia ta muzyka. Jednak najbardziej interesują mnie nieobecni: młoda para.

3 XII

Miasta, odwrotnie niż ludzie, wcale się nie starzeją, niczym kobiety, których również wiek się nie ima, podlegają jedynie prawom nowoczesności. Z poddawania się jej kaprysom taki zysk, że można przeżyć kolejne młodości, pierwszą, drugą... W wędrówce przez Belgrad, gdzie niegdzie tylko odnajduję, przyczajone wstydliwie, ułomki domków, jeszcze poświadczające niegdysiejszą obecność orientu. Ciasno, ciasno, ulice pękają w szwach domów, nie widzę, by gdzieś je poszerzano czy przebijano wyloty. Za to szereg wspaniałych przejść podziemnych, świetnie rozwiązanych, przechodzi się bez obawy uszkodzenia głowy, o co trzeba się martwić pod ulicą Marszałkowską. Ciasno przede wszystkim od samochodów, jest ich kilkadziesiąt tysięcy. Tego szału motoryzacyjnego ongiś nie było, zaczął się niechybnie wcale niedawno, owładnął tak potężnie umysłami ludzi, że posiadanie samochodów — mogłem to stwierdzić później — staje się punktem honoru. W tv oglądam reportaż z belgradzkich przedmieść: kamera podjeżdża przed pyszny „wózek", w tle — szkaradna buda, podjeżdża raz jeszcze, kilkadziesiąt metrów obok — ten sam pejzaż, choć rudera jeszcze bardziej okazała. Rozmowa z właścicielami w pomieszczeniu kilkumetrowym z maleńkim okienkiem: — To pana samochód? — Mój. — Taki samochód, a przecież żyjecie, jak widać (okrucieństwo kamery), nie najlepiej. — Ma sasiad, trzeba mu dorównać. Hm... A zatem z osła do „Mercedesu". Między tymi wehikułami krąży duch czasów, na wysokości wprawdzie niezbyt imponującej, lecz z szybkością całkiem przyzwoitą. Ten pęd, jak się okazuje, porywa i takich, wyrzekają się wielu elementarnych rzeczy, płacą wysoką cenę, przyjemność zapewne niewątpliwa, chociaż trudno mi o tym mówić, nie mając samochodu. Czy dawniej było tak samo, dawniej, znaczy, przed dziesięciu mniej więcej laty? Może. Ale teraz np. reżym oszczędzania jest wręcz wściekły, kult dinara niebywały. Nie potrafię się w tym jeszcze rozeznać, to zaledwie pierwsze obserwacje. Dalsze spostrzeżenia niespiesznego przechodnia: plamy żywej nędzy. Jest mały mróz, dwie dziewczynki biegnące boso, na stopniach miejskich schodów — matka (boso) z półnagim, chorym dzieckiem, jacyś osobnicy podchodzący z prośbą o dinar. Mraginesy? Dysonanse w wielkomiejskiej symfonii? Kioski. Mizdrzą się galeriami „nagich faktów". Co najmniej dziesiątka tytułów, niekiedy ma bardzo zachęcające podtytuły w rodzaju: życie seksualne we dwoje. Wszystko produkuje się w stolicy, wiadomo, gdzie monopol na takie oferty. Gdybym napisał, że nie kupowałem tych pisemek, nikt by nie uwierzył, w każdym razie coś przecie uszczknąłem z tego drzewa wiadomości. Powiedzieć, że to dno z rozlegającym się pod nim wrzaskiem bestiae eroticae, to obdarzyć autorów życzliwym słowem uznania. Podziwiam natomiast czytelników: towar to bardzo pokupny. Słyszę, że ma wyjść niebawem zarządzenie, okładające wysokim podatkiem te magazyny. A w księgarniach, gdzie książki nie tak bardzo już drogie, mnóstwo zresztą można kupić po cenach znacznie zniżonych, cichutko, sennie, jak w regule trapistów. Ekspedientki wyraźnie się nudzą, czekają, by wybawić je ze stanu bierności i jakiegoś zapatrzenia w „siną dal".

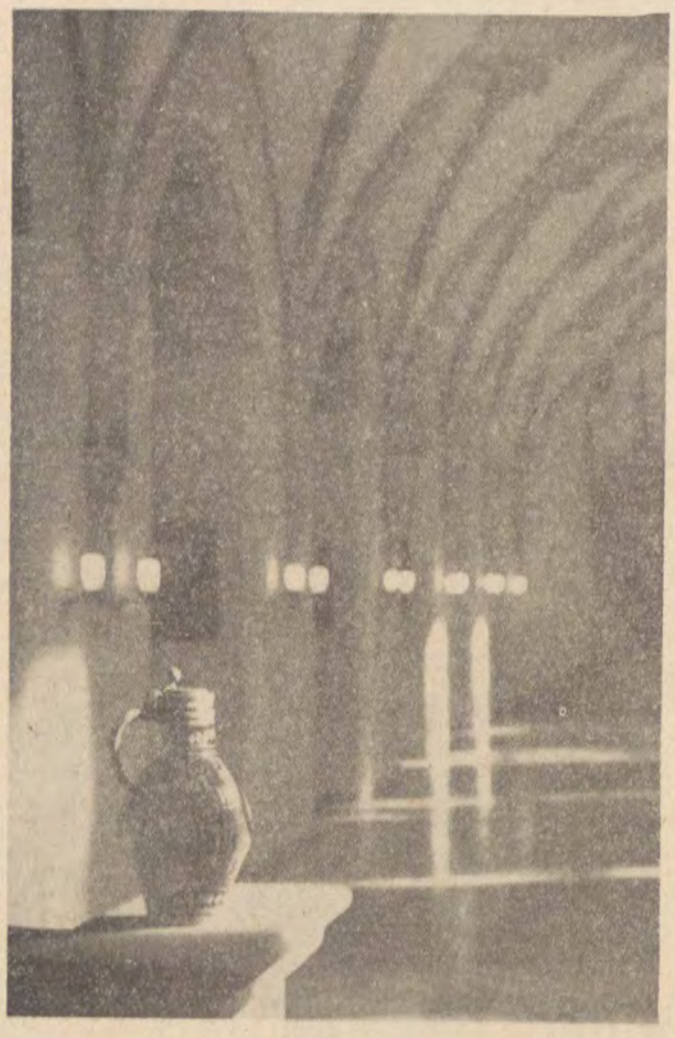

5 XII

Pierwsze przedstawienie teatralne: „Hamlet" w Jugosłowiańskim Teatrze Dramatycznym. Wchodząc myślę o Dejmku, pracował w tym domu. Muszę poszperać w recenzjach. Widownia pełna — przeważnie młodzież, rozhukana, na balkonie tryska taką wesołością, że z trudem wyłapuję odzywki aktorów. W roli tytułowej — Stevan Zigon, jednocześnie reżyser spektaklu, aktor dynamiczny, wewnętrznie silnie rozedrgany, jego książe zdaje się być zupełnym neurastenikiem, choć udaje racjonalistę. W stosunku matki do syna tli się dyskretnie płomyczek kazirodczej słabości, to niuchanie za pomocą doktora Freuda coraz żywiej rozgrzewa Panów Reżyserów, jak Europa długa i szeroka. Scena pusta, kilka elementów, w tyle pomost, w akcję wbijają się, á la maniere Czechow, odgłosy, pojekiwania: nierównomierny plusk morza, skwir mew, pomruki niezidentyfikowanych żywiołów. To może nie jest aż takie natretne, skoro tekst tak cudowny. Ale ten Szekspir w serbskim języku troszeczkę mi obcy, powtarzam go sobie po polsku, i wówczas lepiej go czuję.

12 XII

— Wywiadu panu nie udzielę, porozmawiajmy — oto odpowiedź Petera Vuji Cicia, tłumacza serbskiego z naszej literatury. Wywiadu dla „Literatury na świecie", o co mnie proszono, nie będzie, notuję pewne sprawy pośrednio go dotyczące. Dowiaduję się bowiem, że p. Piotr, trudniący się zawodowo sztuką przekładową, niemal wyłącznie z polszczyzny, nie otrzymuje od lat żadnych materiałów z Polski. Ktoś wpływowy, decydujący o tym urzędnik po prostu obraził się na niego. Za co? Ano że nie przełożył jego książki. Można i tak. Całe szczęście, że tłumacz nie obraził się na polską literaturę, bieda byłaby niewspółmiernie większa. A książki śle mu znajomy inżynier, kosztuje to drogo, rewanżuje się zaproszeniami wraz z żoną do Jugosławii. Transakcja jak transakcja, mój rozmówca wzdycha, co prawda, lecz nie narzeka. Księgozbiór w ten sposób kompletowany nie jest najbogatszy, sporo jednak rzeczy cennych, skrzętnie gromadzonych. Całość dorobku przekładowego wręcz imponująca, kilkanaście tomów poezji i prozy, szereg utworów dramatycznych, w większości już granych. Obecnie w próbach teatru belgradzkiego „Atelie" — „Matka" Witkacego. Sam już nie wie, nie prowadząc rejestracji, ile tego się zgromadziło, wiele utworów, małych form, doczekało się przedruków; powiadamiają go o tym napływające honoraria. Pokazuje mi pachnący jeszcze farbą drukarską numer belgradzkiego miesięcznika, gdzie pomieszczono pokaźny poczet wierszy Z. Herberta. Tegoż dnia radio belgradzkie nadawało jego „Rekonstrukcję poety" w wykonaniu czołowego aktora, T Ljubicia. Wraca do początków swej pracy: jeszcze przed dziesięciu, dwunastu laty, musiałem redakcjom czasopism i wydawcom proponować polskie rzeczy, czasem nawet zabiegać usilnie o ich druk. Zaledwie kilka nazwisk znano wówczas z literatury polskiej. Zmieniło się bardzo, dzisiaj mnie proszą redakcje o teksty. Myślę: zjawisko niezmiernie pocieszające, wystarczy za wszystkie argumenty, jakkolwiek, jak się wyżej powiedziało, nawet takie fakty nie zdołają przekonać osobników, pilnie śledzących wyłącznie losy własnych książeczek.

14 XII

I oto dziś poznaję młodą parę, strasznie młodzi ludzie, tuż po dwudziestce, ona, nie mogąc uzyskać pracy w Belgradzie, wyjechała w październiku do Niemiec Zachodnich, gdzie spotkała swoje męskie przeznaczenie. On pracuje w fabryce czekolady, coś tam przykręca czy odstawia, pracuje od dwóch lat, zdążył się dorobić samochodu i pewnych oszczędności. Za kilka godzin odjeżdżają, siedzą oto jacyś zasmuceni, jakby przeżuwali „pół wolności, pół ucisku i pół wyrzeczenia", radzi by zostać w ojczyźnie, cóż, nie ma pracy. Widzę ich jeszcze krzątających się przy samochodzie: ładują jakieś rodzicielskie prezenty, ślubne upominki, napoje i domowe przysmaki — i w drogę. Co parę dni dzwonią, dopytują się o wszystko, co zaledwie opuścili...

Trochę podróżuję. Zaczyna się ruch przedświąteczny, pierwsi przybywają na święta noworoczne — najważniejsze w roku — emigranci zarobkowi. Pociągi opuchłe od ludzi i bagaży. Bagaże nieforemne, ogromniaste. Ściągają przede wszystkim narzędzia do pracy, większość, jak wynika z rozmów, pragnie otworzyć warsztaty, to jedyna szansa, ażeby zostać w kraju. Przeważnie młodzi ludzie, zmęczeni, zaharowani, lecz w twarzach coś odprężającego: nareszcie. W skali państwa problem to niebagatelny. Jugosłowiański banka rozlepił plakaty, witające rodaków z grubszymi portfelami, czytam, że zdeponowano ponad 6 miliardów dinarów dewizowych, chwali się oszczędność Jugosłowian za granicą. Przeliczając na brzęk i szelest, bilans wypada niewątpliwie pocieszająco, jednakże w tym wygnaństwie z konieczności, w tym zbiorowisku kilkusettysięcznym, rozsianym po Pireneje i Morze Północne, jest przecież jakiś element zafrasowania, przynajmniej dla niżej podpisanego człowieka, który sprawy tej ziemi jeszcze zwykł mierzyć innymi miarkami. Lepiej zresztą nie wyrokować, bo jak powiada librecista —

„gdy się człowiek zacietrzewi,
to o bożym świecie nie wie"...

REJWACH W SPRAWIE DŁUGICH WŁOSÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

w sobotę. Był to chwyt pożyteczny, dynamizujący atmosferę i stwarzający pole do najrozmaitszych spekulacji.

Powiem od razu: sobotnie wyniki były w zasadzie sprawiedliwe, nie budzące sprzeciwów publiczności, dzięki czemu udał się również ostatni akord jubileuszowej imprezy. Poprzednie przedstawiały się jednak, jak wspominałem, całkiem mizernie i wszystko, co najlepsze, działo się na tak zwanych imprezach towarzyszących. W nocy, poza telewizją, odbywały się przecież kabaretony, występy Młynarskiego, Godlewskiej, Gołasa, Demarczyk, a także innych solistów i zespołów; w dzień, również poza telewizją, produkowała się Sośnicka, potwierdzając swój wysoki talent, Santor, która wedle opinii pewnego krytyka osiągnęła szczyty przeciętności, Połomski, który w ostatnim czasie nie zrobił, niestety, kroku w przód, w związku z czym zrobił krok do tyłu, Pietrzyk, który umie rozbawić widownię trochę lepiej niż Ross i trochę gorzej niż znakomity, przecherny solista zespołu Hagaw — Rosiewicz oraz wielu innych lepszych i gorszych wykonawców.

W kuluarach słyszało się głosy, że Festiwal zaczął się ostatnio przeżywać.

Z podobną opinią wystąpił na łamach „Życia Warszawy" Andrzej Wróblewski.

Jest w tym chyba trochę racji. Koncerty ciągną się stanowczo za długo; są nużące, źle skonstruowane pod względem repertuaru; brak w nich szczytów dynamicznych. Ludzie zadają sobie pytanie, w jaki sposób trafili na festiwalowe dechy niektórzy piosenkarze i niektóre piosenki oraz w jaki sposób wielu dobrych piosenkarzy i piosenek zabrakło... Wyraźnie nawala tutaj selektywność, przez co cierpi nie tylko opolska widownia, lecz również Bogu ducha winni telewidzowie.

Nie mam zamiaru wdawać się jednak w polemikę z całą tą rozrywkową machiną. Sami słyszeliście, co jest grane i macie na ten temat swój własny, a więc najwłaściwszy pogląd. Festiwal skończył się, przeszedł do historii, niepodobna go przecież powtórzyć, a więc zamiast ocen, wskoczę na swoje podwórko...

Plotki, obyczaje, psychologia...

Nie da się ukryć, że w opolskim amfiteatrze w czasie przedpołudniowych prób potężna armia spędzonych tutaj gwiazdorów, dziennikarzy, organizatorów oraz wszelkich innych satelitów cierpi na chroniczny brak uwielbienia. Po prostu za dużo jest „znakomitości", aby ktokolwiek (no, może poza Niemenem: rozdawał autografy, a jego ford-mustang był z czcią obmacywany, i to mimo pogniecionej karoserii) mógł się wybić „nad przeciętność". Każdy jednakże czynił w tym kierunku beznadziejne wysiłki. Oto Grześkowiak, najwybitniejszy umysł wczesnego średniowiecza, wierci się bez przerwy między rzędami ławek i mimo procesu z prowincjonalną gazetą, nikt go nie zaczepia, nie poznaje. Oto Kydryński (Krwawy Lucek polskiej piosenki) przemierza samotnie trasę pomiędzy szpalerem martwych, obojętnych twarzy, które jednakże z chwilą, kiedy on już tego nie może zobaczyć, wykrzywiają się złośliwie na widok jego długich (ale tylko z tyłu) włosów i super szerokich spodni... Konferansjerzy są ze sobą wyraźnie na bakier, ale co byśmy nie powiedzieli — Kydryński (pomimo swoich lat, zaokrąglonych kształtów i coraz bardziej kąśliwych złośliwości) jest i tak najlepszy i, doprawdy, serce mnie boli na myśl, co będzie, kiedy go zabraknie...

Oto inne, głośne nazwiska — pan Klekow rozdaje szarmanckie ukłony, pan Dobierski defiluje krokiem Cezara, pani Przybylska je w samotności sałatkę rybną przy moim stoliku, starając się zachować na twarzy wyraz pogody ducha, pan Chyła (w jednej, ale nie powiem jakiej, dziedzinie robi nieustanne postępy) mruży oczy w ostrym słońcu, a jeden klezmer krzyczy: „Skoro świt, o dwunastej w południe my już na nogach!". Snują się markotnie Skaldowie i Czerwone Gitary, a tu nagle zebrała się kupa klakierów i zaczynają na siłę forsować w narodzie piosenkę: „To był świat w zupełnie starym stylu", powtarzając raz po raz refren, rozdając na prawo i lewo jej tekst, wskazując na autora i kompozytora, którzy trzymają na obliczach wyraz niewysłowionej skromności.

Jeden sadzi się nad drugiego, w powietrzu unosi się — mówiąc

JAN KOPROWSKI

W krainie jurt i kumysu

W dzieciństwie nazwa Ułan-Bator kojarzyła mi się z ułanami i królem Batorym, a o Mongolii wiedziałem tylko tyle, że jest tam jakaś straszna pustynia Gobi. Później wiedza moja wzbogaciła się o kindżały, jurty pasterskie i kumys. Kiedy niedawno wybierałem się do tego kraju (wraz z Janem Marią Gisgesem i Zbigniewem Załuskim), stwierdziłem z przerażeniem, że moje wiadomości o nim są więcej, niż skąpe, i że trzeba jak najrychlej wyjść ze stanu tej nieorientacji.

Podróż do Ułan-Bator trwa długo. Za długo jak na moją odporność fizyczną i psychiczną. Z Moskwy do Irkucka lecieliśmy Iłem-18 ponad siedem godzin, a z Irkucka, po niedługim postoju, jeszcze godzinę, nim dotarliśmy do stolicy Mongolii, oddalonej od Warszawy o sześć tysięcy kilometrów. Z Moskwy wystartowaliśmy o godzinie 19.35, w Ułan-Bator byliśmy nazajutrz w samo południe. Należy tu jeszcze zauważyć, że różnica czasów pomiędzy Polską a Mongolią wynosi siedem godzin.

Celem naszej podróży było wzięcie udziału w dziewiątym z kolei spotkaniu przedstawicieli zarządów głównych związków pisarzy państw socjalistycznych, które odbywają się rokrocznie, każdorazowo w innej stolicy. Tym razem wybór padł na Ułan-Bator, położoną w dolinie gór Bogdo-uul nad rzeką Tołą. Klimat suchy, kontynentalny, toteż dokuczało nam pragnienie, które gasiliśmy doskonałą wodą mineralną borżomi, importowaną z Gruzji. Stolica Mongolii liczy niewiele ponad dwieście tysięcy mieszkańców, a cała ludność tego kraju, zamieszkującego ogromny obszar półtora miliona kilometrów kwadratowych, nie przekracza miliona trzystu tysięcy dusz. Obszar Mongolii pod względem wielkości przypomina niegdysiejszy obszar państwa Jagiellonów, zaś obecna Polska zmieściłaby się w granicach tego azjatyckiego kraju prawie sześciokrotnie. W Polsce na jednym kilometrze mieszka ponad sto ludzi, w Mongolii — zaledwie jeden człowiek.

Ułan-Bator, powstałe w XVII wieku, które do r. 1924 nazywało się Urga, zabudowane jest obecnie po europejsku, jedynie na jego pobrzeżach mieszkańcy żyją w jurtach. Gdy na miasto spojrzy się ze wzgórza, widać parę dymiących kominów. Są to pierwsze jaskółki przemysłu, który powstaje tutaj przy wydatnej pomocy Bułgarów, Czechów, Polaków i Rosjan. W samolocie do Ułan-Bator spotkaliśmy kobiety z dziećmi, jadące z Polski w odwiedziny do swoich mężów, zatrudnionych przy budowie kombinatu drzewnego w pobliżu stolicy. Parę lat temu Polacy zbudowali tutaj fabrykę cegieł. W filmie o Mongolii, który oglądaliśmy, pokazano tę fabrykę i naszych w niej specjalistów. Na spotkaniu z załogą wytwórni dywanów (którą, dla odmiany, zbudowali Niemcy) zdumiało nas, że przytłaczająca większość pracowników to ludzie bardzo młodzi, poniżej lat dwudziestu. Nie ulega wątpliwości, że dokonująca się w Mongolii rewolucja przemysłowa pociąga za sobą przemiany w psychice i obyczaju jej mieszkańców. Opowiadano nam wzruszającą anegdotę o Mongole, który ma trudności w dostosowaniu się do pracy w biurze i zakładzie przemysłowym. Otóż gdy nadejdzie wiosna, staje taki człowiek przy oknie, patrzy długo na błękitne niebo i oślepiające słońce, wzdycha, potem kręci się niespokojnie po pokoju, wreszcie wychodzi i wraca dopiero na jesieni. Idzie w step między pasterzy, stada koni i baranów, gdzie nie krępują go surowe rygory współczesnej cywilizacji.

☆ ✻ ☆

Do stolicy ajmaka (województwa) Bułgan polecieliśmy samolotem. Linia kolejowa jest w Mongolii tylko jedna: prowadzi z północy na południe, i do wielu miejscowości można się dostać jedynie samolotem, autem (gazikiem) lub po prostu na koniu. Wylądowaliśmy na równinie stepowej, aż kurz się wzbił poza nami, skąd, po obejrzeniu miasteczka Bułgan (trzydzieści tysięcy mieszkańców), udaliśmy się samochodami w step nad rzekę Orchon. (Orchon to mongolska Wisła, wijąca się meandrycznie przez stepy kraju). Ten słoneczny dzień, spędzony nad rzeką, zapisał się na trwałe w naszej pamięci. Gościnni Mongołowie podejmowali nas w jurtach herbatą z mlekiem i kumysem. Gospodyni nalewa herbatę do miseczek, podaje miseczki mężowi, ten zaś wręcza je kolejno gościom, aby nie było wątpliwości, kto tu jest głową domu. Oboje ubrani w kolorowe „dele", przewiązane pasem o innej barwie. Mężczyźni noszą buty z krótkimi cholewami, które, jak twierdzi nasz Gisges, zwany tutaj Gisgeshanem, pamiętają czasy Czyngisa.

Na wzniesieniu stepowym pasą się stada koni. Za chwilę będziemy świadkami niezwykłego widowiska. Młodzi pasterze na rączych konikach zaczną chwytać na lasso dzikiego, jeszcze nie ujeżdżonego konia. Ów koń ze wspaniałą, rozwiewaną przez wiatr grzywą, wyczuwając niebezpieczeństwo, wymyka się ze stada. Jeźdźcy, jakby przyrośnięci do swoich gniadoszów, pędzą za nim, kołują, aż jeden z nich dopadnie go, zarzuci lasso na szyję i wspomagany przez pozostałych jeźdźców założy mu uzdę. Teraz zacznie się ujeżdżanie dzikusa. Wskakuje nań młody pasterz. Koń rwie z kopyta, pochyla nisko łeb, chcąc zrzucić jeźdźca, szaleje na pastwisku, szamoce się, nic nie pomaga. Jeździec trzyma się znakomicie. Nie ma mowy, żeby spadł. Po dziesięciu minutach koń, najwidoczniej zziajany, daje za wygraną. Uspokaja się i równym truchcikiem przemierza obszar pastwiska. Jeździec klepie go z zadowoleniem po karku, zeskakuje zeń i koń wraca do stada. Ceremonia ta powtórzy się jeszcze. Dziki koń będzie się za każdym razem buntował, gonił jak szalony, potrząsał łbem, stawał dęba — aż wreszcie znowu skapituluje. Syci wrażeń idziemy na brzeg Orchonu. Siadamy na murawie. Ktoś, zaopatrzony w sprzęt wędkarski, próbuje łowić ryby, inni nawiązują rozmowy. Siedzę obok pisarza z Hawany — Juana Marinello, który jest nie tylko wybitnym kubańskim krytykiem i publicystą, lecz także działaczem i dyplomatą, przedstawicielem Kuby w UNESCO. Marinello cieszy się, że następne dziesiąte z kolei spotkanie pisarzy, odbędzie się w Warszawie.

— Chciałbym przyjechać do Polski. Kubańczycy bardzo lubią Polaków. Czy pan wie, że jeden z naszych najwybitniejszych rewolucjonistów był Polakiem z pochodzenia?

Wyznaję otwarcie: nic o tym nie wiedziałem.

— Tak, proszę pana. Nazywał się Karol Rolow-Miałowski. Urodzony w 1842 roku w Warszawie, przyjechał w wieku lat 22 na Kubę i życie swoje związał z jej życiem. Z czasem otrzymał obywatelstwo kubańskie, piastował urząd ministra wojny, a następnie ministra skarbu. Zmarł w 1907 roku. Przed jedenastu laty, w 1961, odsłonięto tablicę pamiątkową ku czci waszego rodaka, a naszego patrioty-rewolucjonisty.

Słów Marinella słuchałem z prawdziwym zaciekawieniem. Po powrocie do kraju, na tydzień przed wizytą Fidela Castro, przeczytałem w „Życiu Warszawy" artykuł o Karolu Rolow-Miałowskim. Myślę, że wraz ze mną wielu czytelników dowiedziało się po raz pierwszy o polskim bohaterze Kuby.

☆ ✻ ☆

W dzień naszego przyjazdu do Ułan-Bator naród mongolski przeżywał żałobę. Zmarł przewodniczący Wielkiego Churału — prezydent Sambu. Przez otwarte okna hotelu dolatywały elegijne tony muzyki i widziało się gromady ludzi, śpieszących na główny plac, gdzie miały się zacząć uroczystości pogrzebowe. I nagle w upalne majowe powietrze wtargnęły dźwięki marsza żałobnego Szopena. Osobliwe wrażenie: słuchać na dalekim kontynencie muzyki polskiej, tak dobrze znanej a tak niesamowitej w tej azjatyckiej scenerii. Nazajutrz rozgłośnia radiowa w Ułan-Bator nadawała bez przerwy melodie żałobne. W pewnej chwili usłyszeliśmy poloneza Ogińskiego „Pożegnanie ojczyzny". Muzyka nie zna granic. Jest powszechna, uniwersalna. Dociera wszędzie i wzrusza ludzi, którzy często nie mają pojęcia o tym, kto, kiedy i w jakich okolicznościach muzykę tę skomponował. Jakże ubogie, w porównaniu do muzyki jest słowo. Jakże ubogie i ograniczone. Mongołowie przetłumaczyli wiersze Broniewskiego, zasłużony slawista Biambyn Rinczen, przełożył „Pana Tadeusza", ale utwory te nigdy nie osiągną tej popularności i tego znaczenia, które zdobywa dostępny dla wszystkich język muzyki.

W stepie

☆ ✻ ☆

Nie zaniedbaliśmy okazji, aby zwiedzić chram — świątynię lamów. Trafiliśmy akurat na chwilę, gdy lamowie (czy może lepiej: lamaici?) pili herbatę. Służbowy chodził z dużym czajnikiem i dolewał tym, którzy wyrażali ochotę na dodatkową porcję. Herbatę może dostać każdy, kto w tym momencie znajduje się w chramie. Ludzie siedzą na podłodze, zasłanej dywanami i chodnikami i piją wraz z kapłanami jakby należeli do jednej rodziny. Gdy skończy się picie herbaty, służbowy kłania się i odchodzi, a lamowie jednocześnie jak na komendę, zaczynają modły. Jest to przedziwne widowisko. Biorą oni w ręce małe dzwoneczki i podzwaniają nimi, wykonując harmonijne ruchy rękami i powtarzając nieznane nam wersety modłów. Są to potomkowie sekty „żółtych czapek", która pod koniec XVI wieku opanowała Mongolię. Rzecznicy tybetańskiego buddyzmu spędzają czas na mistycznym rozmodleniu i kontemplacji. Wnętrze chramu pozawieszane barwnymi tkaninami, a na półeczkach i w szklonych szafkach bezcenne skarby ze srebra i złota. I tu znowu zdumienie: serię posążków Buddy zamówiono na początku dwudziestego wieku w Warszawie u prywatnego artysty. Powiedział nam o tym pracownik ambasady polskiej, mongolista z wykształcenia, pan Latusek. Skoro jestem przy ambasadzie, nie mogę nie wspomnieć, że kierownik tej placówki, Franciszek Nowak, żywo się nami interesował, okazując nam pomoc i prawdziwie przyjacielską gościnę.

A same obrady? Toczyły się one wokół problemów literatury, wzajemnych kontaktów, polityki przekładowej itp. Trzeci dzień kongresu, zwany „Dniem Wietnamu", poświęcony był walczącemu narodowi wietnamskiemu. Zorganizowana z tej okazji wystawa książek wykazała, że dorobek literatury polskiej w tym zakresie przedstawia się imponująco. Pisarze polscy dają dowód, że ich pióro obecne jest wszędzie tam, gdzie toczy się walka o wolność.

---

słowami Młynarskiego — bezinteresowna zawiść; na scenie „próbują" utalentowani debiutanci: Buharowska, Lewandowska, Studzińska, Stróżyk, Bratek (dziewczynka z warkoczami) — na widowni akompaniuje temu dziadowy szmer potępienia. Każde potknięcie jest natychmiast wyłapane i odpowiednio, nieraz głośno, okrzykiem, skomentowane. Twórcy, którym nie udało się umieścić w festiwalowym toto-lotku swoich piosenek, szepcą złowróżbnie, usiłując przeciągnąć na swoją stronę tego i owego, najczęściej słabego wykonawcę lub któregoś z naiwnych, węszących za skandalem dziennikarzy.

— Z tego powinien być proces — agituje mnie pewien kompozytor, powiewając długimi, ufryzowanymi włosami. — I moja w tym głowa, że będzie... Już podobno wchodzi w akcję prokurator...

— Powinien się pan zainteresować sprawą stosunków rodzinnych — podpuszcza mnie inny artysta.

— To są sprawy intymne — mówię.

— Ejże! Przecież ja nie mam na myśli skandalów towarzyskich... tylko wyższe racje!

— Wyższe, to znaczy finansowe?

— Powiedzmy!

— A pana zięć, to nie śpiewa?! — wypaliłem, przymykając oko.

— Widzę, że pan nigdy nie spoważnieje — syknął i odszedł za kulisy, nie podając mi ręki.

A przecież wieczorami, podczas koncertów, to skłócone, nie lubiące się towarzystwo zawiera na dwie-trzy godziny okazjonalny sojusz. Siadają wszyscy w jednym sektorze, biorą się pod ręce, falują zgodnie w rytm muzyki, podśpiewują, pokrzykują, wdzięczą się do telewizyjnej gały. Ktoś by pomyślał, że to jedna, wielka szczęśliwa rodzina, której obca jest jakakolwiek fałszywa myśl.

Ludzie w Opolu mają wiarę w ten Festiwal. Są to po prostu dobrzy, nie zdeprawowani ludzie. Stoją w długich kolejkach po bilety, wkładają na siebie najlepsze ubrania, kupują dla ulubionych wykonawców kwiaty. Celebrują kilka tych dni w roku, stwarzając imprezie wspaniałą atmosferę. Wzruszająca jest ich delikatność: każdy, najgorszy nawet piosenkarz zasługuje na bis, każdemu należy się ciepłe przyjęcie. Skoro dostał się już na te dechy, to musi być dobry, chociażby „wszedł" o dwa takty za późno, czy też zmienił „po drodze" tonację, a zdarzały się takie wypadki, zdarzały...

W odróżnieniu od „Życia Warszawy" miejscowa prasa wysoko ocenia Festiwal:

„Amfiteatr pęka w szwach, a prawie sześć tysięcy osób już drugi wieczór z rzędu pilnie słucha piosenek, starając się wyłowić szlagier „Opola 72" — pisze „Trybuna Opolska". — Koncert „Komu piosenkę", nadawany równocześnie w kolorowej i czarno-białej telewizji, przyniósł rewię utworów nowych i znanych, wymieszanych w jeden dość smakowity cocktail oraz parę nie notowanych dotąd — powiedzmy — zjawisk".

Powiedzmy.

Inne gazety też wychwalały Festiwal.

Ano, można się zgodzić, że objawiło się parę mniej znanych twarzy.

Taki na przykład Bogusław Mec, którego piosenka „Jej portret" (Nahorny — Kofta) była z pewnością jednym z czołowych osiągnięć Festiwalu.

Zresztą stara gwardia też miała swoje przebłyski. Bardzo się ucieszyłem, że Nagrodę Wojewódzkiej Rady Narodowej w Opolu otrzymała piosenka „Do zakochania jeden krok" (Kopff-Bianusz), którą wykonał znakomicie skrzywdzony kiedyś przeze mnie w „Tygodniku Kulturalnym" Andrzej Dąbrowski.

Świetne dni mają „Trubadurzy", a ich nostalgiczno-histeryczny utwór: „Będziesz ty" (Kowalewski — Kondratowicz) był (i chyba jest) zdecydowanie najlepszą kompozycją „na zespół młodzieżowy".

Mogła się również podobać ambitna, działająca przy łódzkim Stowarzyszeniu Muzyki Estradowej „Pro-Contra", akompaniując większości solistów.

Były to jednak rodzynki.

Festiwal jest starannie wyreżyserowany, zapięty na ostatni guzik — a przecież czegoś mu brakowało. Myślę, że chodzi tutaj nie tylko o piosenki. Wierzcie mi — opisując atmosferę prób w amfiteatrze, chciałem pokazać nie tyle obyczaje, co gnuśność piosenkarzy.

Ich to już nie bawi.

Oni się zestarzeli i są zmęczeni.

Śmiech w Opolu słyszy się coraz rzadziej.

Czegoś żal.

— Co by pan powiedział, gdyby zlikwidowano Festiwal Piosenki? — zapytałem czterdziestoletniego opolanina.

— To się nie może stać!

— Dlaczego?

— Przecież w żadnym innym mieście piosenka nie miałaby tak dobrze!

To prawda.

Opolscy organizatorzy i działacze wkładają w tę imprezę całe swoje serce. Ich — tych dziesięć lat nie znudziło; ciągle są pełni zapału, a miasto z roku na rok wygląda coraz piękniej.

Ale gdzieś tam wdziera się zwątpienie.

Z prawdziwym smutkiem przeczytałem ostatni numer jakże przecież wesołej „Gazety Festiwalowej".

„Dziękujemy wszystkim, którzy nam pomogli, a do tych, którzy nas czytali (w swym niepoprawnym optymizmie nie wykluczamy takiej możliwości) kierujemy staropolskie: NASI DRODZY! BĄDŹCIE ŁASKAWI — CO ZŁE, TO NIE MY! Nasz optymizm wyraża się i w tym, że choć dochodziły nas słuchy O NIEPEWNEJ PRZYSZŁOŚCI FESTIWALU, żegnamy się z Wami: DO ZOBACZENIA I USŁYSZENIA ZA ROK".

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Prezentujemy wybrane wiersze laureatów Konkursu B tegorocznego VII Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi.

MARIAN JANUSZ KAWAŁKO

II NAGRODA W KONKURSIE B

Dziedzictwo

mam was ostatnich i pierwszych zarazem
jak brzask i nieszpór
jak krzyk i milczenie
i dziś znam tylko was choć
znam na zawsze
jak kurtyzanę z litewskiego placu
albo proroka co na gruzach wieszcząc
najświętszym dotąd pozostał poetą
wam też się jeszcze teatr śni wróżebny
czterdziesty czwarty i róg wernyhory
lecz zawsze z głową pełną katzenjammer
topicie zamysł w fusach czarnej kawy

mam was do bólu pijani poeci
jak igłę we krwi jak raj utracony

podnieście głowy lub
umrzyjcie
gładko

ANDRZEJ LENARTOWSKI

II NAGRODA W KONKURSIE B

W dłoni ojca

(Fragment poematu)

1
***

w dłoni ojca miecze wbite
na potęgę i krzyż na cierpienie
w dłoni ojca myszy drzemią
kocur czarny nocą im jest i spokojem
wół z aniołem pole orzą
do białej kości dłoni ojca

2

Modlitwa

ojciec u obrazu klęka
ziemią dłonie żagna krzyżem wrasta w matkę
bożą ziarno w ustach słowem chrzęści
kosa w nogach srebrem błyszczy
a za oknem traktor burzy rannym wstaniem
sielankę słońca w rozwartej stodole
gdzie modlitwa ojca ofiarę zanosi
czarnej dłoni ptakom zrabowanej

3
***

teraz słońce zaprzęgnięte kołem
toczy wóz na jarmark
świstem bata prycha czerwonymi promieniami
i krwistą zorzą para z pyska leci
do dłoni na lejcach świtem bielejących

GRZEGORZ STACHOWIAK

III NAGRODA W KONKURSIE B

Muzeum poety

zbierał kwiaty na łące

jechał panicz bogaty
słońce bielało
noc już wracała z bożego ciała

strzelał do siebie zza tego
muru tu się powiesił
a w tym pokoju truł
się sześć razy wczoraj
roztrzaskał głowę o kraty

nie mógł żyć
a nie mógł umrzeć

był młodym a już nieśmiertelnym poetą

„Inoi"

BRONISŁAW GÓRECKI

O więcej zrozumienia

Jak stwierdzają badania, we współczesnych społeczeństwach jest od 14 proc. do przeszło 20 proc. ludzi upośledzonych czasowo lub trwale, fizycznie lub psychicznie, a stopień tych upośledzeń bywa różny.

Wskazuje się także na tendencje wzrostu liczby osób, dotkniętych różnego rodzaju upośledzeniami. Sprzyjają temu takie czynniki, jak rozwój przemysłu i motoryzacji, dojazdy do pracy, tempo współczesnego życia, przedłużenia życia ludzkiego, a także — co wydaje się paradoksalne — zdobycze medycyny i lecznictwa, które ratują życie chorym, ale nie zawsze przywracają im w pełni zdrowie.

Wśród tych osób poszkodowanych są także dzieci. Opracowane w różnych krajach według różnorodnych kryteriów wskaźniki upośledzeń wahają się w granicach od 7 proc. do 12 proc. ogółu dzieci, w wieku szkolnym danego kraju.

Rehabilitacją dzieci, tj. przygotowaniem ich do użytecznego życia w społeczeństwie, zajmuje się szkolnictwo specjalne. Ma ono stosunkowo długą tradycję i bardzo duży dorobek. Jego działalność wywarła też duży wpływ na leczniczą i zawodową rehabilitację osób w wieku dojrzałym.

Trzeba jednak wyraźnie podkreślić, że wyniki rehabilitacji, szczególnie dzieci i młodzieży, zależą w dużym stopniu od postaw społeczności wobec jednostek upośledzonych i kalekich. Publicznie wyrażone postawy wobec osób upośledzonych są na ogół przychylne, jednakże głębsze, niezwerbalizowane postawy są nieprzychylne, a nawet wrogie. Wynikają one z obciążenia psychicznego, jakiego doznajemy w czasie kontaktu z jednostkami upośledzonymi psychicznie czy fizycznie. Obciążenie to przejawia się w przykrych stanach emocjonalnych lub antycypacji tych przykrych przeżyć. Antycypacja przykrych przeżyć wynika bądź z własnych doświadczeń, bądź z przekonań przejętych od innych. Ludzie pragną unikać tego obciążenia psychicznego istniejącego, lub antycypowanego, stąd rodzą się negatywne postawy. Ta negatywna postawa może stanowić motywację do działania, zapobiegającego wystąpieniu obciążenia, a więc np. może powodować niedopuszczanie dziecka upośledzonego fizycznie, niedosłyszącego, czy kalekiego do zwykłej szkoły — co się bardzo często zdarza, unikanie kontaktów z takimi dziećmi, izolowania ich itp. Jednym słowem dzieci, w jakikolwiek bądź sposób upośledzone, znajdują się zawsze w znacznie gorszej sytuacji w społeczeństwie, niż ich normalni rówieśnicy. Szczególnie odczuwalne i widoczne jest to w stosunku do osób dotkniętych niektórymi rodzajami upośledzeń, jak np. głębokim upośledzeniem umysłowym, ślepotą, kalectwem fizycznym, czy chorobą psychiczną. W tych przypadkach otoczenie widzi w dziecku przede wszystkim kalectwo i jego negatywne skutki, i ujemnie ocenia jego możliwości życiowe, zawodowe i cechy osobowości. Negatywny stosunek i ocena otoczenia rzutują na warunki pracy rehabilitacyjnej. Nie zawsze otoczenie docenia konieczność tworzenia warunków, które podnosiłyby poziom pracy rehabilitacyjnej, gdyż nie zawsze wierzy w skuteczność takiej pracy. Szkolnictwo specjalne ma zwykle gorsze warunki pracy, niż normalne, gdyż troska o nauczanie i wychowanie dzieci upośledzonych jest mniejsza.

W Łodzi szkolnictwo specjalne obejmuje opieką przeszło 5.400 dzieci. Są to upośledzeni umysłowo, głusi, niedosłyszący, niedowidzący, społecznie niedostosowani i przewlekle chorzy. Obowiązek szkolny w stosunku do tych dzieci jest w zasadzie realizowany w 100 proc. Jednakże rehabilitacja nie zawsze prowadzona jest w sprzyjających warunkach.

Sieć placówek, zwłaszcza dla dzieci upośledzonych umysłowo, nie jest właściwa. Wynika to z tego, że Inspektoraty Oświaty organizowały szkoły specjalne w budynkach szkolnych, zwolnionych przez szkoły normalne. Najczęściej miało to miejsce w centrum, tj. w granicach starej Łodzi — skąd mieszkańcy przenoszą się do nowych osiedli, w których właśnie brak szkół specjalnych (Teofilów, Dąbrowa, Karolew, Zarzew). W tej sytuacji około 1500 uczniów upośledzonych umysłowo, z dodatkowymi kalectwami i zaburzeniami psychicznymi, dojeżdża z odległych osiedli do szkół zlokalizowanych od 2 do 6, a nawet 10 km od ich miejsca zamieszkania. Dzieci te są codziennie narażone na niebezpieczeństwo. **Wadliwa sieć szkół specjalnych jest wynikiem nie tylko nieprawidłowej polityki władz oświatowych, ale i niewłaściwych postaw społecznych.**

Władze szkolne widzą obecnie palącą konieczność skorygowania sieci szkół specjalnych i czynią takie próby. Nie zawsze jednak znajdują **zrozumienie** wśród rodziców, a nawet nauczycieli tej szkoły normalnej, do której planuje się przenieść szkołę specjalną, względnie w sąsiedztwie której chce się ją umieścić. Obrona wówczas jest zaciekła, a postawy wrogie. Np. w dzielnicy Bałuty przy tego rodzaju akcji padały takie stwierdzenia jak: „To niemożliwe, aby moje dziecko siadało na tym samym fotelu dentystycznym co debil", lub „Dla takich dzieci szkoda szkół i pieniędzy". itp. Gdyby to był przypadek odosobniony, można by go pominąć. Takie fakty występują przy każdej próbie zmiany warunków lokalowych w tym szkolnictwie. Wynikają one z przesądów i tkwi w nich brak zrozumienia interesu społecznego. Im przecież lepiej przygotujemy jednostkę poszkodowaną do życia i pracy, tym mniejsza zajdzie potrzeba roztoczenia nad nią opieki i tym większa będzie wartość ekonomiczna jej pracy.

Niesprzyjające postawy społeczne znajdują odzwierciedlenie również i w tym, że szkolnictwo to organizuje się przeważnie w starych budynkach. Dowodem tego jest fakt, że jeśli 80 proc. nowych widnych budynków w Łodzi zajmuje szkolnictwo normalne, to tylko 28 proc. (6 na 21) takich budynków jest w szkolnictwie specjalnym. Przy tym należy dodać, że wśród sześciu nowych budynków tylko trzy były budowane specjalnie dla tego typu szkolnictwa, pozostałe trzy są przystosowane, zaś dalsze piętnaście, to stare budynki, z których w trzynastu brak typowych sal gimnastycznych. W większości placówek specjalnych nie ma odpowiednich sal do zajęć praktyczno-technicznych, rytmiki, świetlic, gimnastyki korekcyjnej, gabinetów do pracy logopedycznej itp. W czterech placówkach nie ma w ogóle korytarzy i pomieszczeń rekreacyjnych, a w ośmiu brak miejsca na boisko szkolne. W tym stanie rzeczy podstawowe założenia pracy rehabilitacyjnej, wymagające usprawnienia dzieci pod względem fizycznym, psychicznym, społecznym i zawodowym nie mogą być w pełni realizowane. **Jedyna szkoła zawodowa dla młodzieży lekko upośledzonej umysłowo w Łodzi pracuje na trzy zmiany, w godzinach od 7 rano do 21 wieczorem, gdyż zamiast 350 uczniów, bo dla tylu była budowana, mieści się w niej 900.**

Innym problemem, na który mają wpływ negatywne postawy otoczenia wobec jednostek upośledzonych jest problem usamodzielniania i zatrudniania absolwentów, zwłaszcza sierot faktycznych i społecznych, przebywających w zakładach wychowawczych.

Usamodzielnienie w rozumieniu władz oświatowych polega na wyposażeniu wychowanka w konkretne umiejętności zawodowe, społecznego bytowania oraz przystosowania do życia i pracy. Poza tym jeśli to jest sierota — danie wyprawki. Potwierdza to Uchwała Nr 460 Prezydium Rządu z dn. 21.VII.1956 r. § 12, który brzmi następująco: „Zobowiązuje się Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej oraz Ministerstwo Gospodarki Komunalnej do przydzielania w pierwszej kolejności pracy i mieszkań wychowankom usamodzielnionym przez domy dziecka i młodzieżowe zakłady wychowawcze, a pozbawione opieki rodziców".

Tymczasem realizacja tej uchwały przez kompetentne wydziały Prezydium Rady Narod. jest niezadowolająca. Zabiegi zakładów wychowawczych o przydział mieszkań dla wychowanków pozbawionych opieki rodziców nie dają rezultatów. Konsekwencją tego stanu rzeczy jest fakt, że w zakładach wychowawczych rok rocznie pozostaje i czeka, często nawet do 2 lat na mieszkanie, kilkunastu wychowanków. Tak np. w obecnej chwili takich wychowanków, którzy przebywają nielegalnie w zakładach wychowawczych jest około 20.

Postawa ludzi odpowiadających za wytworzony stan rzeczy w zakresie przydziału mieszkań utrudnia stabilizację, powoduje rozgoryczenie i opóźnia proces rehabilitacji poszkodowanych dzieci.

Niechęć do dziecka upośledzonego ze strony otoczenia i izolacja go wymaga zorganizowanego działania, zmierzającego do zmiany tych postaw. Kształtowaniem pożądanych postaw wobec osób upośledzonych powinien zająć się Okręgowy Ośrodek Metodyczny. W tym celu należy stworzyć program działania w zakresie uświadamiania społeczeństwu potrzeb i swoistości rozwojowych osób w jakikolwiek sposób upośledzonych. Program ten winien być w pierwszym rzędzie realizowany na terenie placówek oświatowych wśród nauczycieli, młodzieży i rodziców. Winno się również zainteresować tymi problemami prasę i środki masowego przekazu.

Należy również podejmować środki przeciwdziałające powiększaniu liczby dzieci w szkołach specjalnych. W tym celu powinno się dać pierwszeństwo w przyjmowaniu do przedszkoli dzieciom, które ze względu na deprawację kulturową, socjalną i ekonomiczną swego środowiska są potencjalnymi kandydatami do szkół specjalnych. Dzięki wczesnej stymulacji (czego dowodem są badania) wyrównają braki i unikną szkoły specjalnej.

Należy również zapoczątkować organizację opieki pedagogicznej w szkołach normalnych nad dziećmi z pogranicza normy i upośledzenia, dotkniętymi tzw. mikroupośledzeniami, które również z braku tej opieki są przekazywane do szkół specjalnych. Do systemu organizacji tej opieki należy włączyć Poradnię Zawodową i inne poradnie specjalistyczne, aby prócz dodatkowego nauczania, dzieciom tym można zagwarantować leczenie i inną pomoc.

Ludzie poszkodowani nie mogą być narażeni na izolację. Muszą pracować i żyć wśród nas, a my musimy ich rozumieć. Od nas, od naszych postaw i warunków, jakie stworzymy dla rozwoju jednostkom poszkodowanym zależeć będzie ich poczucie przydatności w społeczeństwie i ich osiągnięcia w życiu. Izolacja, niechęć i obojętność muszą więc ustąpić miejsca rozsądnej integracji.

RYSZARD BINKOWSKI

Nauka i praca

Na terenie Łodzi i województwa istnieje 17 (łącznie z filiami) liceów ogólnokształcących dla pracujących oraz 4 licea korespondencyjne, w których pobiera naukę około 10 tys. osób. Są to przeważnie robotnicy, pielęgniarki, pracownicy biurowi, ekspedientki, a także pracownicy instytucji rolniczych i dzieci rolników, pracujące w gospodarstwach rodziców.

Łączenie pracy z nauką kosztuje wiele wyrzeczeń. Przecież programy i podręczniki w liceum dla dorosłych są podobne do tych z liceów młodzieżowych, identycznie przebiega egzamin dojrzałości, tylko liczba godzin jest mniejsza: 20 godzin tygodniowo w liceum wieczorowym i 10 godzin w liceum korespondencyjnym. Tym bardziej więc cieszy fakt, że uczniowie liceów dla pracujących w większości podjęli naukę z własnego wyboru.

Budujący jest również fakt stałego wzrostu uczących się kobiet. Jeśli w latach pięćdziesiątych stanowiły one 50 proc. ogółu uczniów, to w br. jest ich już ponad 70 proc. Na uwagę zasługuje także wiek uczniów: ogromna większość to młodzież w wieku 19—21 lat. Są i młodsi, ci do 18 lat, którzy z różnych powodów, często ambicjonalnych (chęć posiadania własnych pieniędzy) idą do pracy i kontynuują naukę. Jednakże w ostatnich latach ubywa tych „młodocianych" w szkołach dla dorosłych.

Aktualnie w liceach dla pracujących realizowane są dwa programy nauczania — jeden na podbudowie siedmioklasowej szkoły podstawowej (nauka w klasach VIII—XI), drugi zaś dla absolwentów klas ósmych, którzy pobierają naukę w zreformowanych klasach I—IV. Od roku 1973/74 tylko takie klasy będą powstawać. Aby jednak umożliwić kontynuowanie nauki osobom ze świadectwem ukończenia szkoły siedmioklasowej, trzeba będzie zorganizować dla nich kursy wyrównawcze.

Warto przy okazji nadmienić, że oprócz wyżej wymienionych form nauki są jeszcze prowadzone tzw. zespoły przedmiotowe (humanistyczne i matematyczno-przyrodnicze), dzięki którym osoby powyżej 21 roku życia mogą ukończyć szkołę w ciągu trzech lat.

Biorąc pod uwagę specyfikę szkolnictwa średniego dla dorosłych (praca, obowiązki rodzinne, uciążliwe dojazdy) oraz różny zasób wiedzy kandydatów do tych szkół (niektórzy mieli dłuższą przerwę w nauce), należy stwierdzić, że wyniki nauczania są zadowalające. W liceach ogólnokształcących w Łodzi w r. szkolnym 1970/71 było promowanych 88 proc. ogółu uczniów, w województwie zaś 87,4 proc. Świadectwo dojrzałości uzyskuje średnio 55 proc. osób. Gorzej jest w liceach korespondencyjnych, ale ta forma nauki wymaga o wiele więcej wytrwałości, samozaparcia i zdyscyplinowania.

Jesteśmy krajem ludzi uczących się. Coraz częściej spotyka się robotników z maturą. Bardzo wielu chętnych do dalszej nauki rekrutuje się spośród absolwentów zasadniczych szkół zawodowych. Wychodząc naprzeciw zapotrzebowaniu społecznemu dla absolwentów ZSZ utworzono w Łodzi 3-letnie liceum ogólnokształcące. Dzięki patronackiej działalności WKZZ i KOS coraz więcej kandydatów zgłasza się do tej jedynej w mieście szkoły, zwłaszcza, że Ośrodek Usług Pedagogicznych organizuje dla nich kursy wyrównawcze z wielu przedmiotów.

Kandydaci przychodzą też z chęci podniesienia poziomu wiedzy ogólnej i zawodowej, albo też uzyskania lepszej pracy; większość jednak po ukończeniu liceum nie zamierza zmieniać pracy, a pewna grupa pragnie podjąć studia wyższe, zgodne z obecnie wykonywaną pracą.

Warto więc podjąć starania, aby szkoła ta mogła się rozwijać. Potrzebuje przede wszystkim odpowiedniej bazy lokalowej. Dotyczy to zresztą i innych szkół średnich dla pracujących, których nie jest w zasadzie wystarczająca — zarówno w Łodzi jak i województwie — ale warunki pracy nie zawsze najlepsze.

Wydaje się również, że czas pomyśleć o wprowadzeniu w szkolnictwie średnim dla pracujących systemu zmianowego. Pracujący na trzy zmiany młodzi ludzie, zwłaszcza absolwenci zasadniczych szkół włókienniczych, nie mają w obecnych warunkach możliwości dalszego zdobywania wiedzy.

Zapał i pęd do wiedzy winien być doceniany i popierany, a nie hamowany. Dlatego też administracja zakładów winna bardziej zainteresować się sprawą dokształcania pracowników. Duże pole do działania mają tu rady zakładowe, które winny nieść pomoc uczącym się i czuwać nad przestrzeganiem przysługujących im uprawnień, aby stworzyć robotnikom jak najlepsze możliwości podwyższania wiedzy ogólnej i uzyskania świadectwa dojrzałości.

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

Poezja czuła i współczująca

Od debiutu poetyckiego Józefa Henryka Wiśniewskiego minęło dwanaście lat. Średnio, co cztery więc lata, autor „Miłości naszych", obdarzał nas nowym tomem poezji. Niewielki to dorobek, ale może właśnie dlatego jakże znaczący, bez mielizn i łach, błyszczący grudkami szczerego poetyckiego złota. Wiśniewski już w „Miłościach naszych" był poetą ukształtowanym i jeżeli później odszedł od swych pierwszych dokonań poetyckich, to tylko w sensie formalnym, zachowując jednak tak istotny dla każdego oryginalnego, rasowego poety własny świat niepokojów, obsesji i rachunków ze światem. Poezja Wiśniewskiego od źródła jest poezją wyrazistej postawy moralnej, poezją żarzącą się do granic wytrzymałości. Przy tym jest to poezja czuła i współczująca. Przy całym bogactwie formalnym poeta ani w jednym wersie nię traci z pola widzenia wartości najwyższej: Człowieczeństwa. W tytułowym poemacie tomu „Między tobą a mną" dokonał wiwisekcji postaw etycznych i moralnych między mężczyzną i kobietą żyjącymi w złożonym współczesnym świecie.

Dwanaście lat od ukazania się „Miłości naszych", a sześć lat od wydania tomu „Między tobą a mną", Józef Henryk Wiśniewski dał nam znowu książkę poetycką przedniej próby. Już tytuł określa i wyznacza jej poetycki sens. „Przypowieść", bo o tej książce tu mowa, to bilijna kronika poetycka. Odnajdujemy tu poezję jak w poprzednich tomach czyniącą niepokój. Zaangażowaną, nie bójmy się użyć tego słowa, w moralne i etyczne sprawy świata. Może bunt poety „ustatecznił się", lecz nadal środki jego wyrażania są precyzyjne, prześwietlone w dodatku światłem poezji romantycznej, szczególnie, takie odnoszę wrażenie, poezji Słowackiego. Wiśniewski przyzwyczaił nas do wierszy surowych, jakby z pnia słowa wyrąbanych siekierą. Wiersze z „Miłości naszych" i z późniejszego tomu „Między tobą a mną" są małymi fabularyzowanymi dramatami poetyckimi, olśnieniami zapisanymi pospiesznie jakby poeta bał się nadużyć słowa i uczuć, działające jak to słusznie zauważył Jan Śpiewak na zasadzie nagiego dramatyzmu tematu. Metoda taka jednakże, przy widocznych nawet osiągnięciach nie mogła być zbyt długo kontynuowana, groziło jej bowiem niebezpieczeństwo monotonii poetyckiego wyrazu. W „Przypowieści" znajdziemy kilka wierszy pisanych tą techniką, wierszy zresztą dobrych, lecz nie one są miernikiem wartości tej książki.

Wiśniewski swym nowym tomem, co nie jest zresztą rzeczą nową ani odkrywczą, a o czym poeci jakże często zapominają, przypomniał że bez świadomości praźródła mowy, „będziesz do głuchych mówić szczątkami języka", że posłużę się tu linijką z wiersza Jerzyny „Źródło". Nowe wiersze poety skrzą się odniesieniami najświetniejszych dokonań w poezji polskiej. Wersyfikacyjnie wiersz Wiśniewskiego nie jest wyrąbywany jak przedtem siekierą, poeta używa teraz do tych samych celów narzędzi różnych i doskonalszych. Czuje się tamto doświadczenie, ale w napięciach międzysłownych, w przykładaniu wagi do każdego użytego szczegółu. Jeżeli mógłbym posłużyć się obrazem, powiedziałbym, że widać w energii liryczznej to samo serce poety, lecz myśl, która tę energię wytworzyła wyznacza tej poezji inne nowe szlaki. W dawnych wierszach Wiśniewskiego nie do pomyślenia jest wersyfikacja strofkowa. Słowa jak drzazgi odpryskiwały od poetyckiego zdania. W „Przypowieści" poeta posługuje się frazą nieomal klasyczną, szerokim czystym zdaniem. W „Dialogu" i „Szkicu do portretu IV — Thomasa Cromwella", poeta sięga do wzorów dramatu greckiego. Buduje wiersze monologii w których liryczne „ja" wypowiada się ustami mitycznych lub historycznych postaci. Wymienimy inne tytuły wierszy by wyrobić sobie obraz tropów kulturowych tej poezji: „Arkadia", „Modlitwa Tejrezjasza", „Do Kreona", „Śpiew Prometeusza pod skałą", „Penelopa", To tylko niektóre tytuły — znaki wywoławcze.

Dla Wiśniewskiego kultura, to nie przepisywanie mitów i struktur, ale ich ciągłe uwierzytelnianie, wypełnianie treściami współczesnymi, to uporczywe stawienie pytań, jak przejść suchą stopą przez błoto świata. Liryczny podmiot jego wierszy ma poczucie ciągłego zagrażania i osamotnienia:

czemu osobny pośród świata stoję
choć w nicość — razem lecz nie
pogodzeni
(Outsider)

mdławy sobie jestem
i już widzę
jak ci dwaj
wychodzą na jednego
(Czasem)

Krzyk którym przepełniony jest
tom, to krzyk zaklinań:
nigdy nie będę inny zaklinam się
po sto po tysiąckroć
(Szkic do portretu IV
Thomasa Cromwella)

Lecz jest w tym krzyku i żelazna wiara w to, że „wszyscy zawistni mali którzy nienawidzą" nie okiełznają pięknego dzikiego symbolu walki upersonifikowanej w przejmującym wierszu „Mustang"

Również tak stara i misterna forma jak sonet posłużyła poecie do wypowiedzenia najczulszych słów miłości. Ale sonet dla Wiśniewskiego to nie czczy popis formy a wpisywanie w tę formę lirycznego doświadczenia. I tu także rzecz charakterystyczna, poeta ani na włos nie odszedł od dosadnej zmysłowości obrazowania, a przecież wiersz jest lekki, choć wypełniony niełatwym optymizmem.

Duża część „Przypowieści" to prozy poetyckie. Sądzę, że w tej formie poetyckiej wypowiedzi niewielu współczesnych poetów wzniosło się na takie wyżyny. Potwierdzają to szczególnie tak piękne i mądre utwory jak tytułowa „Przypowieść", „Ptak w klatce", „Wspomnienia wojowników", „Dezynfekcja, deratyzacja..."

Józef Henryk Wiśniewski: PRZYPOWIEŚĆ. Wydawnictwo Łódzkie 1972, str. 80.

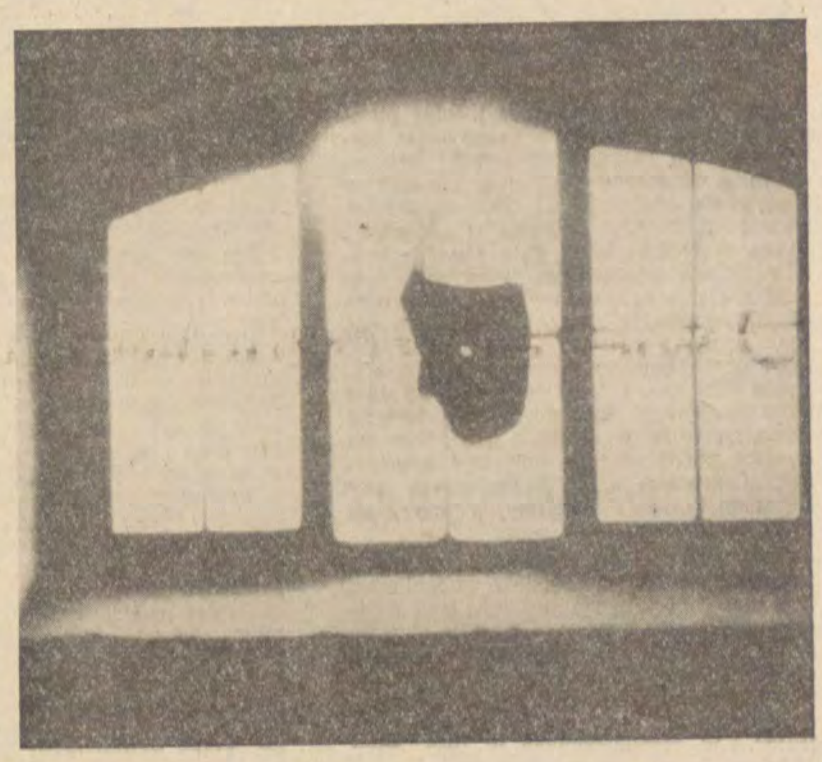

Z dziejów polskiego historycznego myślenia

Przeszłość i teraźniejszość

„Śmiech i litość mię zbiera, kiedy słyszę ludzi, i to niby inteligentów, prawiących, że dzieje nasze kończą się na 3-cim rozbiorze. Ślepi, tumany, a czyż nie widzą, jak wielką rolę odgrywaliśmy w świecie od tego czasu do dziś?! Takich tumanów ślepych namnoży się bez liku; lud i naród zwątpi i zapomni o sobie, jeśli nie będzie wskazówek, które by mu pokazały, jak od czasu rozbioru rozwijało się życie narodowe. To życie widne tylko ze zdarzeń; jakżeż naród będzie mógł wiedzieć o życiu, nie wiedząc o zdarzeniach, wynikach życia?" Romantyczny poeta Mieczysław Romanowski, który pisał te słowa w 1857 roku, wymagał od uczestników i świadków porozbiorowych zmagań Polaków, aby nie dopuścili, by ich czyny poszły w zapomnienie. Obsesja zapomnienia własnej przeszłości, z jaką tak często spotykamy się w naszym piśmiennictwie w okresie porozbiorowym, w warunkach, kiedy w tradycji widziano ważną dźwignię świadomości narodowej Polaków, kontrastowała z szerokim ruchem zbieractwa pamiątek narodowych. Skoro historia była nauczycielką życia, zwracano się do niej tym usilniej, im dotkliwszymi były doświadczenia teraźniejszości, niejednokrotnie zatracając przy tym krytycyzm w stosunku do narodowej przeszłości, która stawała się przedmiotem kolektywnego uwielbienia. Przy każdej okazji podkreślano, że „zachowywać od zatracenia pamiątki narodowe, podawać je wiekom potomnym, było zawsze wszystkich ludów powinnością świętą i tkliwą", jak czytamy w „Pszczółce Krakowskiej" w 1822 roku. Jednakowoż owe zbieractwo, któremu oddawali się już nie tylko przedstawiciele wyższych warstw społecznych, ale także np. mieszczanie w rodzaju miłośnika starożytności krakowskich Ambrożego Grabowskiego, z pozoru jednakie, kryło w sobie wcale zróżnicowane postawy w stosunku do przeszłości. Co innego przecież oznaczały historyczne zatrudnienia Konstantego Świdzińskiego, pracującego nad genealogią rodów szlacheckich, co innego wyrażało zbieractwo Grabowskiego i licznych innych miłośników odkrywanej właśnie przeszłości miast i miasteczek. W owym historycznym antykwaryzmie pierwszej połowy XIX wieku znajdowały swoje odzwierciedlenie zróżnicowania ideowe polskiej myśli historycznej, wcale nie mniejsze, niż w okresie poprzednim.

Zenon Jagoda, autor opublikowanej przez „Wydawnictwo Literackie" (1971) pięknej książki „O literaturze i życiu literackim Wolnego Miasta Krakowa 1816—1846", dorzucił sporą garść informacji do tego, cośmy dotąd wiedzieli o zwrocie w stronę narodowej przeszłości, jaki zaznaczył się w polskim życiu umysłowym w początku XIX wieku. Śród innych, przypomniał on również postać, która ostatnio nie cieszyła się zbyt wielkim zainteresowaniem badaczy, mianowicie Jana Pawła Woronicza i jego niekwestionowaną rolę prekursora w stworzeniu literackiego programu zwrotu ku przeszłości. „Woronicz wracał w przeszłość bez ambicji poznawczych, mimo że jego wiedza historyczna była dość rozległa, zwykle po to, by znaleźć w niej pretekst do gloryfikacji dawnych ludzi, stosunków, praw. W niepewnej sytuacji braku państwowości cel tych zabiegów był jasny, poniekąd pożądany i wzniosły; w pojęciu Woronicza i wielu pisarzy w tym czasie trzeba było podkreślać to, co świadczyło o wielkości, rozumie, potędze dawnych Polaków, bo pamięć o chwalebnej przeszłości mogła się stać czynnikiem decydującym o przetrwaniu". Oceny to najzupełniej słuszne, nie pozwalają jednak w pełni, naszym zdaniem, na uchwycenie wszystkich istotnych cech historyzmu Woronicza.

Z. Jagoda słusznie podkreśla jego związki z tradycjonalizmem szlacheckim, ale jestem przekonany, że idzie zbyt daleko, kiedy podobnie jak niedawno M. Porębski powiada, że autor „Sybilli" proponował program neosarmacki. Przecież apologia narodowej przeszłości obejmowała u Woronicza nie tylko dawne czasy Rzeczpospolitej szlacheckiej, ale zacierając konflikty końca XVIII w. ogarniała także dorobek epoki reform, Sejmu Czteroletniego, powstania kościuszkowskiego i walki Polaków o niepodległość w dobie napoleońskiej. W programie, który byłby w istocie neosarmacki, nie byłoby miejsca na taką pochwałę konstytucji 3 maja, jaką prezentował Woronicz; mieściłaby się w nim jedynie apologia konfederacji barskiej. Neosarmacki nurt refleksji historycznej głosił bowiem, że Polska upadła dlatego, że odstąpiła od swoich pradawnych urządzeń ustrojowych, zboczyła z jedynej drogi, po której winna była kroczyć, jak tego będą niebawem dowodzili Henryk Rzewuski, Michał Grabowski i inni przedstawiciele tego samego kierunku. Nie „Sybilla" i „Hymn do Boga", ale „Pamiątki Soplicy", „Listopad", czy „Pamiętniki kwestarza" reprezentują w dziejach polskiej myśli historycznej nurt neosarmacki, podczas gdy twórczość Woronicza przedstawia nam wcale odmienną, chociaż również tradycjonalistyczną orientację, bynajmniej jednak nie wyrażającą, jak Rzewuski czy Grabowski, postawy zwątpienia i ugody. Jeżeli współcześni tak wysoko cenili twórczość Woronicza, działo się tak dlatego, że miała ona dla nich ważkie wartości ideowe, a przede wszystkim krzepiła wiarę w lepszą przyszłość narodu i nadzieję odzyskania niepodległości. Kierunek neosarmacki tych wartości nie przedstawiał.

JÓZEF GRZELAK

JADWIGA ŻURAKOWSKA

SCENA OTWARTA HENRI POULAINA

W związku z projektowaną ostatnio przebudową gmachu, do programów w Teatrze Nowym dodawane są wkładki z interesującą propozycją zmiany dotychczasowego układu sceny i widowni Małej Sali. Jest to właściwie kilka propozycji zilustrowanych rysunkami, które burzą dotychczasowy schemat tradycyjnej sceny pudełkowej. Rozważania o nowych perspektywach przestrzeni scenicznej Małej Sali są niewątpliwie ważnym przyczynkiem do toczących się od dawna dyskusji o konieczności zmian we współczesnym teatrze. Nie bez znaczenia pozostaje fakt, że autorem tych propozycji jest Henri Poulain — artysta z łódzkiego środowiska plastycznego, obecnie stały scenograf Teatru Nowego.

Z pochodzenia Francuz, absolwent paryskich uczelni Ecole des Beaux Arts i Ecole Arts Appliques a l'Institute, w czasie wojny znalazł się w Polsce i tutaj pozostał do dziś. Początkowo projektował scenografię dla teatrów lalkowych; był jednym z założycieli teatrzyku „Sezam" w Piotrkowie, następnie współpracował z teatrami łódzkimi: „Pinokio" i „Arlekin". Praca w teatrze lalek daje szerokie możliwości dla swobodnego tworzenia, plastyk nie jest ograniczony, jak w teatrze dramatycznym, wieloma konwencjami natury czysto realistycznej, czy technicznej. Stąd prawdopodobnie długotrwała współpraca Poulaina z tymi teatrami. Od 1954 roku projektuje scenografie dla teatrów dramatycznych w Łodzi, jest autorem oprawy plastycznej do „Obrony Sokratesa", „Czerwonej magii", „Radosnych dni" i szeregu innych interesujących pozycji na łódzkich scenach.

Scenografia Henri Poulaina, podobnie jak malarstwo wywodzi się z surrealizmu. Nie sposób zresztą rozgraniczyć tych dziedzin w jego twórczości. O ile scenografia artysty jest zdecydowanie malarska, to w obrazach odnaleźć można często teatr z potencjalną akcją. Poszukiwania w malarstwie mają ogromny wpływ na prace dla teatru. W zrealizowanych w 1965 roku „Radosnych dniach" S. Becketta (reżyseria: Tadeusz Minc) statyczna scena jest surrealistycznym obrazem. Plastyka teatralna Poulaina ulega jednak konsekwentnym zmianom. Skłania się do coraz większej oszczędności środków, odchodzi prawie zupełnie od dosłowności, opisowości. Punktem wyjścia dla tych realizacji jest przede wszystkim tekst dramatu, chociaż nie wyznacza prawie nigdy czasu i miejsca akcji. Tworzy jedynie klimat, określa sytuację dramatyczną; niekiedy interpretuje nieomal tekst plastyką.

Do oprawy plastycznej „Czerwonej magii" inspiracją jest niewątpliwie malarstwo Bruegela, a właściwie jego współczesna interpretacja — zdeformowana, okrutna wizja świata. Na scenie znajdują się elementy symbolizujące niebo, piekło i czyściec; wszystko to na tle malowanej, ogromnej panoramy świata ujętej w kształt ludzkiego oka. Spektakl, nagrodzony na IV Kaliskich Spotkaniach Teatralnych, reżyserował Tadeusz Minc — podobnie jak „Sen srebrny Salomei" i „Króla Mięsopusta" — przedstawienia, które zdobyły nagrody Srebrnej Łódki. Dramat Słowackiego interpretuje Poulain również poprzez współczesność. Scena jest prawie pusta, poza nielicznymi rekwizytami mającymi charakter czysto funkcjonalny. Natomiast nad sceną zawiesza orła polskiego, przesłaniając go jednak srebrnymi, barokowymi chmurkami, lub ustawia nadnaturalnej wielkości ikonę, by w czasie walki jaka toczy się między Polakami a Ukraińcami twarz madonny została przeszyta niezliczoną ilością strzał. Kostiumy mężczyzn nie mają prawie nic wspólnego z epoką, są to ahistoryczne waciaki, bardzo uniwersalne, przystające do każdej sytuacji historycznej. Z kolei w „Królu Mięsopuście" zaskakuje bogactwem form plastycznych. Dekoracje są tu ironiczną trawestacją baroku, a kostium swoistym komentarzem dla postaci. Współpraca Poulaina i Minca przynosiła zawsze interesujące wyniki, należy jedynie żałować, że zakończyła się definitywnie na skutek odejścia Tadeusza Minca do Gdańska.

Spektakle w oprawie plastycznej Henri Poulaina czterokrotnie zdobywały nagrody Srebrnej Łódki. Poza wspomnianymi są to: „Życie jest snem" w reżyserii Witolda Zatorskiego i „Idiota" w reżyserii Stanisława Brejdyganta. Scenografia do „Idioty" jest najlepszym przykładem dążenia artysty do jak największej oszczędności środków. Scena — to zupełnie pusta przestrzeń (jako rekwizyty wnoszone są jedynie krzesła i stół), natomiast wokół — jak w studio telewizyjnym, czy filmowym — ustawione są reflektory. Ich promienie tworzą abstrakcyjne kompozycje plastyczne i są jedynym tworzywem scenografa. Niewątpliwie ogromny wpływ ma w tym wypadku współpraca z telewizją i filmem, gdzie światło odgrywa ogromną rolę, a oświetlające plan reflektory są stałymi rekwizytami.

Poulain jest również autorem prac dla teatru studenckiego „Pstrąg", oraz dekoracji do oper: „Toski", „Aidy" i „Legendy Gruzińskiej" na deskach Teatru Wielkiego w Łodzi. Specyfika inscenizacji operowej i ogromne możliwości techniczne tej nowoczesnej sceny sprawiają, że tworzy dekoracje efektowne, bogate.

Scenografia nie stanowi jedynej dziedziny plastyki, którą zajmuje się artysta. Jest również ilustratorem książek, plakacistą, i przede wszystkim malarzem sztalugowym. Malarstwo to należałoby zaliczyć do surrealizmu, przy czym odnaleźć można w nim reminiscencje sztuki holenderskich mistrzów. Malując przedmioty rzeczywiste i postaci (np. portrety kobiece), tworzy Poulain poprzez ich niezwykłe zestawienia, nierealny poetycki świat. Poetycką metaforą jest cykl „Don Kichotów", przedstawiający niewielką postać błędnego rycerza na tle pustego pejzażu. Niektóre z jego obrazów są kompozycjami nieomal abstrakcyjnymi, zawsze jednak zawierają pewną anegdotę, niosą treści, które kształtowane przez wyobraźnię malarza nadają im formę bezprzedmiotowych kompozycji. Jest to malarstwo bardzo kameralne, refleksyjne — oto co mówi o nim sam twórca: „Tematykę czerpię z moich marzeń, z podświadomości, z humoru, z tych wielu ludzkich stanów psychicznych, które pobudzają wyobraźnię. To wszystko tkwi w jakimś irracjonalnym, niezbadanym podłożu psychicznym, w uczuciach, które leżą poza wszelką systematyzacją, poza próbami identyfikacji".

KRONIKA PLASTYCZNA

Przez ponad trzydzieści lat pracy z aparatem fotograficznym Gerard Puciato wykonał blisko 12 i pół tysiąca zdjęć. Pierwsze powstały w wileńskiej pracowni pioniera polskiej fotografii artystycznej, Jana Bułhaka, do której Puciato uczęszczał jeszcze w mundurze ucznia. Niedługo potem przyszedł czas, kiedy trzeba było włożyć inny mundur. Przez lata wojny automat i leica były wiernymi towarzyszami. Po tamtych dniach pozostały wspomnienia i setki zdjęć. Kronika prawdziwa tamtych dni, wojna widziana oczyma żołnierza, zapisana na małych, prostokątnych kartonach.

Drugim kierunkiem działalności fotograficznej Puciaty jest fotografia teatralna, portret i akt. Jako fotoreporter prasowy Gerard Puciato zmuszony jest do obiektywnego rejestrowania faktów, do nieustannego wychwytywania logicznego ciągu przyczyn i skutków, do konstruktywnego a zarazem syntetycznego patrzenia i myślenia. W portrecie, wobec bogactwa kobiecego ciała, w fotografii „obsługującej" teatr stosuje Puciato odmienne środki wyrazu, może sobie pozwolić na bardziej osobiste i swobodne podejście do tematu. Może dowolnie operować nastrojem, kompozycją kadru, skalą ekspresji. Stąd inny charakter tych fotogramów i, jak sądzę, one właśnie stanowią tę najwartościowszą warstwę w twórczości Puciaty. Z kolei sprawność techniczna pozwala mu na swobodne stosowanie szerokiego asortymentu środków wyrazowych w zależności od tematu, jaki bierze na warsztat.

Gerard Puciato brał udział w licznych wystawach krajowych i zagranicznych. Na World Press Photo w Hadze otrzymuje w latach 1964—1965—1967 dyplomy honorowe. Nagrody i wyróżnienia otrzymuje w Interpress Foto i na ogólnopolskich Konkursach Fotografii Prasowej. Uczestniczy m. in. w Międzynarodowej Wystawie Fotografii Teatralnej w Nowym Sadzie w Jugosławii. Obecnie mamy okazję oglądać jego wystawę fotografii w łódzkim Klubie Dziennikarza.

* * *

Skoro mowa o fotografii, zostańmy przy niej jeszcze przez chwilę. W Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki, staraniem Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych i Klubu Fotografii Prasowej SDP w Łodzi, zorganizowana została interesująca wystawa „Wacław Kondek w fotografii Eugeniusza Kudaja". Dopełnieniem tego jakby maxi-reportażu fotograficznego była niewielka ekspozycja prac olejnych i grafiki Wacława Kondka. Ani Kondka ani Kudaja przedstawiać tu nie trzeba. Jednego znamy doskonale z licznych wystaw, drugiego z łamów łódzkiej prasy. Obu łączy żywe zainteresowanie miastem, w którym żyją i pracują. Kondek utrwala jego „nieurodziwą" i zabytkową architekturę w setkach rysunków. Kudaj na planszach fotograficznych zapisuje architekturę tę z wczoraj i tę dzisiejszą, zapisuje życie ulicy, twarze ludzi. Obaj tworzą, każdy na swój sposób i własnymi środkami, dokumentację o mieście. Kondek pełną poezji i liryzmu opowieść. Kudaj obiektywną dokumentację faktów. I w ten sposób reportaż Eugeniusza Kudaja o Wacławie Kondku, malarzu tworzącym w Łodzi stał się, poprzez te liczne związki, także reportażem o mieście. Bowiem w skład miasta wchodzą nie tylko domy, urzędy, sklepy, tramwaje, ale i ludzie, którzy tworzą jego kulturę. A bardzo często zapomina się o tym w ferworze tzw. „spraw wielkich i ważnych dla miasta".

Roman Hennel — Portret żony

* * *

W Salonie Sztuki Współczesnej na Piotrkowskiej obejrzeć można wystawę grafiki, skompletowaną ze zbiorów Galerii Drezdeńskiej. Są to prace powojennej generacji twórców — przeważnie linoryty, litografie i rysunki. Cecha charakterystyczna dla większości zaprezentowanych prac jest duża sprawność techniczna, biegłe opanowanie warsztatu. Graficy z Niemieckiej Republiki Demokratycznej obracają się w granicach konwencji realistycznej. Wiele grafik w mniejszym lub większym stopniu, świadomie lub mniej świadomie nawiązuje do tradycji niemieckiego ekspresjonizmu, brak im jednak tej siły wyrazu, jaką wykazywał ten kierunek przed i po I wojnie światowej. Brak na wystawie również przykładów śmiałego eksperymentu, co czyni ją nieco monotonną i trochę „staroświecką". Z kolei tematyka przypomina nam jako żywo lata pięćdziesiąte w naszej sztuce, kiedy najgłośniej — choć fałszywie — rozbrzmiewała niefrasobliwa „ballada o podawanej cegle".

Równolegle z wystawą grafiki młodych mistrzów z Galerii Drezdeńskiej, w Lipsku, w Polskim Ośrodku Propagandy czynna jest obszerna ekspozycja malarzy i grafików z Łodzi. Zaprezentowano na

ZIEMOWIT MIEDZIŃSKI

Mickiewiczowskie 150-lecie

Przed 150 laty wyszły spod prasy drukarskiej w Wilnie „Poezje" Adama Mickiewicza. W obrębie tego zbiorku, który otwierały „Pierwiosnek" i „Romantyczność", znalazły miejsce pozostałe ballady: „Świteź", „Świtezianka", „Rybka", „Powrót taty", „To lubię", „Rękawiczka", „Pani Twardowska", „Tukaj", „Lilie" oraz romanse: „Kurhanek Maryli" i „Dudarz" a także „Warcaby", „Hymn do Najświętszej Panny Marii", „Przypomnienie" i „Żeglarz".

Zbiorek ten wywołał żywe reperkusje w życiu kulturalnym społeczeństwa polskiego i zajął poczesne miejsce w toczącym się sporze między klasykami i romantykami. Mickiewicz poprzedził swe utwory przedmową pt. „O poezji romantycznej", w której atakuje poetów i teoretyków klasycyzmu. Zarzuca im, że piszą bardziej uczenie aniżeli poetycko, jak również wypomina brak natchnienia koniecznego do wyrażenia stanu swoich uczuć. Poezja romantyczna — wyjaśnia — ma u każdego narodu swój kształt indywidualny, właściwą sobie cechę i „każdy pisarz nawet ma właściwą swoją romantyczność".

Szczególne znaczenie w tym tomiku przypadło w udziale „Romantyczności" jako swoistemu manifestowi romantyzmu. W tym utworze polemizował Mickiewicz ze słynnym Janem Śniadeckim. Były rektor wileński, koryfeusz racjonalistów polskich, zamieścił w styczniu 1820 roku w „Dzienniku Wileńskim" artykuł pt. „O pismach klasyków i romantyków". W pracy tej zaatakował poglądy Kazimierza Brodzińskiego utrwalone w rozprawie „O klasyczności i romantyczności". Młody poeta oburzył się na tendencyjne i niewłaściwe określenie poezji romantycznej, uwidocznione w „Dzienniku Wileńskim". Nadzwyczaj musiało go dotknąć utrzymywanie przez Śniadeckiego sądu, że „romantyczność mówi: durzmy ludzi, pokazujmy im duchy... Czary, gusła i upiory nie są naturą, ale płodem spodlonego nieświadomością i zabobonem umysłu". Młody poeta, który „tam sięgał, gdzie wzrok nie sięga", przenikał martwy świat rzeczy, aby odnaleźć inny, dostępny „prawdom żywym" a nieprzenikniony samym tylko rozumem. I nie o czary i gusła chodziło Mickiewiczowi, nie o „wywietrzałe duby prostactwa", mówiąc językiem Śniadeckiego, ale o duchowe skarby przechowywane w prostej wierze ludu. „Romantyczność" jest odpowiedzią na zarzuty Śniadeckiego, bowiem:

Dziewczyna czuje — odpowiadam skromnie
A gawiedź wierzy głęboko.
Czucie i wiara silniej mówi do mnie
Niż mędrca szkiełko i oko.
. . . . . .
Miej serce i patrzaj w serce.

Tak kończy się ballada a jednocześnie jej ostatnie akordy staną się ostatecznym drogowskazem całego życia poety. Zwierzając się Aleksandrowi Chodźce wyznał, że od razu stanął „poza obrębem starej szkoły. W „Romantyczności" jest już ziarno przyszłej poezji: czucie i wiara. Szukałem, widziałem coś jak tam dzieweczka i w dalszych poezjach nigdy nie zbiłem z tej drogi".

Nic dziwnego, że zbiorek ballad i romansów wydany przed 150 laty odbił się tak natychmiastowym i szerokim echem, bo też od czasów znanego literackiego sporu Orzechowskiego ze Stankarem i Modrzewskim „żaden rozterk nie był u nas tak głośny, jak walka romantyków z klasykami", jeśli zawierzyć opinii Maurycego Mochnackiego.

Klasycy bynajmniej nie skapitulowali po ataku młodego poety. Stosunkowo najłagodniejszy sąd o jego poezji, z jakim wystąpił obóz klasyków, skonkretyzował się w liście gen. Morawskiego do Kajetana Koźmiana z 13 sierpnia 1824 roku. „Przeczytałem (...) między innymi Mickiewicza. Niezaprzeczony ma talent, ale kto chce nowy rodzaj wprowadzić, trzeba go okazać w całej doskonałości, inaczej odrazi. Ballady jego, mimo wad języka są przyjemniejszym tworem...."

Syn Kajetana, Andrzej Koź-

niej wszystkie ważniejsze nazwiska środowiska łódzkiego i już z racji samej swej różnorodności cieszyć się ona winna dużym zainteresowaniem.

* * *

W Ośrodku Propagandy Sztuki doroczny przegląd malarstwa, grafiki i rzeźby — Wystawa Okręgowa i — co stało się już zwyczajem — wręczenie medali za osiągnięcia artystyczne twórcom z poszczególnych dyscyplin.

W dziedzinie malarstwa medale otrzymali: Marian Jaeschke, Jerzy Mróz i Andrzej Trezno. W dziedzinie grafiki Andrzej Kabała, Andrzej Bartczak i Andrzej Nawrot. W dziedzinie rzeźby medal otrzymał Michał Gałkiewicz.

Najciekawsza częścia ekspozycji jest bez wątpienia grafika. Krystalizują się w tej dziedzinie sztuki indywidualności wyraźne i mocne. Ogólnie rzecz biorąc Łódź staje się znaczącym ośrodkiem grafiki artystycznej na mapie kraju. Przy okazji warto wspomnieć, iż środowisko łódzkich grafików prezentowało niedawno swoje prace w Toruniu — był to niejako rewanż za ekspozycję grafików toruńskich w Łodzi. Różnice między ośrodkiem toruńskim a łódzkim są bardzo wyraźne, stąd grafika naszych twórców cieszyła się zrozumiałym zainteresowaniem.

* * *

W Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki otwarta została wystawa akwarel Romana Hennela z Krakowa. Obrazki, które nam Roman Hennel prezentuje określane są przez niego samego mianem „akwarel" i chyba tylko dlatego, że przy ich wytwarzaniu zostały użyte farby wodne akwarelami potocznie zwane. Lecz byłoby sprawą śmieszną w dzisiejszych czasach wykłócać się o czystość techniki akwarelowej, o czystość techniki olejnej, o czystość akwaforty, litografii, czy o czystość jakiejkolwiek techniki innej, skoro wszystkie pomieszały się z sobą w sposób dowolny i zgodny jedynie z wyobraźnią i apetytami artystów. Kolorowe obrazki Hennela są wesołe, pogodne, bezpretensjonalne. A to chyba wystarczająco dużo, żeby zwrócić na nie uwagę, aby je obejrzeć. Taka twórczość, podobna do małego, wygodnego fotela, jest dziś coraz rzadsza, choć przez zwykłych „zjadaczy chleba" — poszukiwana. Przypuszczam, że wielu chętnie powiesiłoby obrazki Hennela na ścianie i jak sądzę, jest to komplement dla ich twórcy.

ANDRZEJ GRUN

LISTY DO REDAKCJI

My mieszkańcy ul. Czahary najbardziej zainteresowani problemami komunikacji i innymi kwestiami, poruszonymi w artykule „Pasierbowie Łodzi" w piśmie „Odgłosy" z dn. 18. VI. 72 nr 25 (761), serdecznie dziękujemy za zainteresowanie i poinformowanie szerszego ogółu społeczeństwa o naszych codziennych udrękach.

Z całym napięciem będziemy śledzić skutki tej interwencji prasowej.

Jesteśmy zaskoczeni, iż pismo „Odgłosy" tak wnikliwie potraktowało nasze sprawy, gdyż dotychczas wszelkie nasze potrzeby nie odnosiły nigdzie oddźwięku.

36 podpisów

TERESA WOJCIECHOWSKA

SEZON I SŁUCHACZE

Pięknym akordem finałowym zakończyła Filharmonia Łódzka tegoroczny sezon koncertowy. Wspaniałe dzieło oratoryjne „Mesjasz" Haendla, po raz pierwszy wykonane w Łodzi zakończyło i sezon i Dni Muzyki Organowej i Oratoryjnej. Impreza ta, organizowana już od paru lat przez Filharmonię, wydaje się krzepnąć i nabierać coraz większego znaczenia, sięgającego już poza granice Łodzi. W tym roku, klamrą spinającą jej koncerty: recitale organowe i koncerty wokalno-organowe, były dwa wspaniałe dzieła oratoryjne. Dni otwarto „Requiem" Verdiego w wykonaniu solistów (Hanna Lisowska, Izabella Kobus, Henryk Kłosiński i Andrzej Saciuk), chóru i orkiestry Filharmonii Łódzkiej pod dyrekcją Zdzisława Szostaka, zamknięto zaś właśnie „Mesjaszem" Haendla w znakomitym wykonaniu dużej klasy solistów (Zofia Janukowicz, Kazimierz Myrlak, Władysław Malczewski), chóru chłopięcego Filharmonii Poznańskiej, popularnych „Poznańskich Słowików" i orkiestry Filharmonii Łódzkiej pod dyrekcją Stefana Stuligrosza. Tegoroczne Dni Muzyki Organowej i Oratoryjnej (wystąpili w nich mistrzowie organów tej miary co Holender Haite van der Schaaf, Harry Grodberg z ZSRR czy Jan Kucharski), dostarczyły łodzianom przeżyć najwyższej miary.

Przywykliśmy na ogół, że sezony filharmoniczne rozpoczynają się bardzo atrakcyjnie, między innymi dzięki Warszawskiej Jesieni, której soliści i zespoły występują potem gościnnie w różnych miastach kraju, do Łodzi mają zaś najbliżej. Tegoroczny sezon jednak miał nie tylko dobry początek i dobre zakończenie. Był to chyba jeden z najciekawszych sezonów naszej Filharmonii nie tylko dzięki występom wielu muzycznych znakomitości (że wymienię tu tylko przykładowo kilka nazwisk dyrygentów tej miary co Carlo Zecchi, Fausto Zadra, Jose Sebrier, Gunnar Staern, czy Dżansug Kachidze), ale również — a może przede wszystkim, bo to jest dla nas najważniejsze — dzięki wysokiemu poziomowi orkiestry nie tylko w „odświętnych", ale także tych „powszednich" cotygodniowych koncertach. W ciągu całego sezonu obserwować można było stale i konsekwentnie podnoszącą się formę wykonawczą naszych filharmoniów, coraz lepszy, dojrzalszy brzmieniowo chór.

Z początkiem tego sezonu stanowisko p.o. kierownika artystycznego Filharmonii Łódzkiej objął **ZDZISŁAW SZOSTAK**, opuścili ją najpierw Stefan Marczyk, potem Arkadiusz Basztoń, który zresztą z placówką nadal współpracuje. Praktycznie więc rzecz biorąc, na barkach Zdzisława Szostaka, w ciągu całego roku spoczywało kierownictwo artystyczne Filharmonii Łódzkiej. Niezupełnie z naszej winy, artysty tego nie przedstawiliśmy naszym czytelnikom na początku sezonu, choć tak uczynić należało. Może jednak lepiej się stało, bo dziś możemy powiedzieć o nim już wiele słów dobrych nie na kredyt, lecz na podstawie jego całorocznej pracy i całorocznych osiągnięć. I powiedzieć, że pozyskanie tego artysty dla Łodzi było posunięciem ze wszech miar słusznym i pożytecznym. Jego współpraca z orkiestrą musiała przebiegać bardzo harmonijnie, skoro dała tak dobre rezultaty. A obok talentu muzycznego, dyrygenckiego, to cecha niezwykle istotna dla wyników pracy artystycznej. Więc choć z opóźnieniem, miło nam przedstawić Zdzisława Szostaka naszym Czytelnikom dzisiaj.

— Kierownictwo artystyczne Filharmonii obejmuje od przyszłego sezonu Henryk Czyż. Czy oznacza to, że Pan opuszcza Łódź?

— Nic podobnego, pozostaję tu na stanowisku zastępcy kierownika artystycznego. Muszę przyznać, że czuję się w Łodzi bardzo dobrze i wcale nie mam ochoty jej opuszczać. Między innymi dlatego, że przypomina mi mój rodzinny Sosnowiec, jest jakieś podobieństwo między tymi dwoma miastami i dlatego może od razu poczułem do Łodzi sentyment mimo, że do czasu przyjazdu tu, nigdy z tym miastem nie miałem nic wspólnego, poza bardzo luźnymi kontaktami z Wytwórnią Filmów Oświatowych, dla której pisałem czasem muzykę do niektórych filmów. No, a co najważniejsze bardzo dobrze współpracuje mi się z orkiestrą, którą wysoko cenię.

— Właśnie, na czym Pana zdaniem polega dobra współpraca dyrygenta z orkiestrą?

— Trochę to jest może tak jak z małżeństwem. Początkowa sympatia, wzajemne poznawanie muszą się później przerodzić chyba we wzajemny szacunek i tolerancję dla wad obu stron.

— Widać jest to teoria słuszna, skoro daje dobre rezultaty. Czy może nas Pan zapoznać ze swym artystycznym życiorysem?

— Studia kompozycji odbywałem u prof. A. Malawskiego, a dyrygentury u prof. B. Szabelskiego w Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach. Po ukończeniu studiów przez dwa lata współpracowałem z Filharmonią Śląską, a w 1958 roku przeniosłem się do Filharmonii Poznańskiej, jak się później okazało na 13 lat. Obok dyrygentury zajmowałem się prowadzeniem chóru oratoryjnego im. H. Wieniawskiego.

— Podczas ostatniej konferencji prasowej w Filharmonii dyrekcja poinformowała nas, że na przyszły sezon Henryk Czyż planuje między innymi wystawienie pozycji takich jak Haydna „Msza o św. Cecylii", Honeggera „Joanna na stosie", Brittena „Requiem wojenne", Rossiniego „Mała msza uroczysta", Beethovena „Missa solemnis" itd. wydaje się więc, że te formy muzyczne będą Panu bliskie?

— Na temat repertuaru przyszłego sezonu nie chcę się wypowiadać, uczyni to zapewne dyrektor Czyż w sposób autorytatywny. Istotnie jednak, forma oratorium jest mi bliska.

— Po wieloletniej pracy w Poznaniu, mieście o muzykalnej i wyrobionej publiczności jest pan zapewne zaniepokojony frekwencją w naszej Filharmonii?

— Istotnie. Wprawdzie pierwsza część sezonu była niezła, bo w pierwszych dwóch miesiącach publiczność dopisywała. Później był wyjazd do Włoch, który — jeśli już jesteśmy przy tym temacie — chciałbym odnotować jako sukces zespołu i placówki, mimo trudnych warunków, w jakich podróżowaliśmy. Potem jeszcze frekwencja była niezła, natomiast od marca zaczęła się już sytuacja bardzo trudna i przykra. Mimo, że koncerty były interesujące, mimo, że występowało wiele dużych indywidualności artystycznych, które w innych miastach spotykały się z wręcz entuzjastycznym przyjęciem. Potem dla przykładu choćby występ Narcisa Yepes, hiszpańskiego gitarzysty, grającego na 10-strunowym instrumencie przez niego skonstruowanym. We Wrocławiu jego występ był istną rewelacją, u nas przeszedł niemal niezauważony.

— Wydaje się, że jest to zjawisko złożone, na którego temat głos zabrać powinni i socjologowie i działacze kulturalni. Zapewne jednak również przyczyny szukać można w kilku poprzednich sezonach filharmonicznych, które nie potrafiły utrzymać starej i przyciągnąć nowej publiczności. Oceniając miniony sezon można chyba sądzić, że jest to sprawa do odrobienia.

I jeszcze jedna sprawa. Filharmonia wprowadziła w minionym sezonie nową formę umyzykalniania młodzieży: koncerty szkolne. Jakie są doświadczenia z tej inicjatywy?

— Traktowaliśmy te koncerty jako dalszy ciąg umuzykalniania młodzieży po audycjach szkolnych, które Filharmonia prowadzi od wielu lat, które mają charakter kameralny i odbywają się w szkołach. Na koncerty szkolne młodzież przychodziła do Filharmonii, słuchała też muzyki symfonicznej w wykonaniu orkiestry. Koncerty te były również połączone z prelekcją. Wysłuchało ich w ciągu sezonu około 27 tysięcy młodzieży. I zauważyliśmy rzecz interesującą. Najlepiej reagowała, najlepiej zachowywała się ta część słuchaczy, która poprzednio uczestniczyła w naszych audycjach szkolnych.

— Stąd wniosek, że skorupka powinna za młodu nasiąkać...

* * *

Zdzisław Szostak nie przesadził wcale wyrażając zaniepokojenie frekwencją w Filharmonii Łódzkiej. Istotnie, w ciągu ostatnich miesięcy sala przeświecała pustkami. Pustkami przykrymi dla naszych wykonawców, kompromitującymi wręcz wobec wykonawców krajowych czy zagranicznych. Nawet tak piękne oratorium jak „Requiem" Verdiego nie zdołało wypełnić publicznością na sali podczas dwóch wieczorów koncertowych. Czy miałam rację mówiąc dyr. Szostakowi, że to złe poprzednie sezony są winne temu zjawisku? Wcale nie jestem tego pewna. Czy może organizatorzy widowni, ludzie popularyzujący działalność Filharmonii pracują nie dość sprawnie? Czy łodzianie są społecznością niemuzykalną? Nie umiem odpowiedzieć na te pytania. Ale z pewnością powinny one stanąć na szerszym forum, powinny stać się troską działaczy kulturalnych miasta.

mian, przybrał bardziej nieprzejednaną, względem mickiewiczowskiej poezji, postawę. Dopiero po latach smętnie wspominał pomyłkę swoją i pozostałych sympatyków stanowiska konserwatywnego, przy okazji omawiania twórczości barda warszawskich klasyków, Ludwika Osińskiego. Ten ostatni bagatelizował nowe a świetne zjawisko w polskim piśmiennictwie, jakim była poezja autora „Ballad i romansów", kwitując ich ukazanie się dosadnym a jakże niefortunnym określeniem: „Z wielkiej chmury mały deszcz". Dopiero w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia Andrzej Koźmian zrozumiał, że Osiński pomylił się wierutnie i to nie tylko pod względem literackim. Ta chmura, o której pogardliwie wyraził się słynny klasyk „nie deszcz, lecz pioruny — zdaniem Koźmiana — w łonie swoim niosła, które ... zapalić pożar ... miały. Ta chmura sprowadziła nie tylko rewolucję literacką, ale rewolucję w wyobrażeniach, w uczuciach, w charakterze narodowym".

Pierwsze wystąpienie literackie Adama Mickiewicza nie zakończyło zmagań pomiędzy romantykami a klasykami, które trwały jeszcze lat osiem, to jest do wybuchu powstania listopadowego. Jednakże poważnie zmieniły teatr walki. Klasycy przywitali pierwszy i następne tomiki Mickiewicza jedynie satyrami, docinkami, parafrazami, listami a przyznając sobie prawem kaduka nieomylność w kwestii smaku, stawali się coraz nudniejsi i zrażali sobie młodych, którzy wyczuwali w młodzieńczych poezjach Mickiewicza, a więc nie tylko w jego balladach i romansach, ale i w „Odzie do młodości", czwartej części „Dziadów", „Grażynie", czy „Konradzie Wallenrodzie" nowe treści. Nie trudno było już wieścić koniec kariery klasycyzmowi, opierającemu się na skostniałym estetyzowaniu i racjonalizmie oraz hołdującemu martwym wzorom. Romantyzm Mickiewicza miał swoje źródło w życiu. Nic też dziwnego, że nigdy jeszcze takiego bogactwa najrozmaitszych a tak szczerych wzruszeń nie krył w swoich łamach dotąd żaden tomik polskich poezji. Obejmował bowiem i kojarzył najprzeróżniejsze dziedziny rzeczywistości: świat wierzeń ludowych i świat tradycji szlacheckich, nie brak w nim było wzruszeń religijnych i szczerych zachwytów nad pięknem przyrody ojczystej, wypełniały go rojenia miłosne a jednocześnie głęboka zaduma nad ludzkim losem. A przy tym uderzały niezwykle dojrzałą, kunsztowną formą. Bogactwo i opanowane, mistrzowskie zalety językowe ballad i romansów, oddające w pełni natchnienie poety, musiały zdumiewać i wzbudzać szacunek. Z pewnością nie przyszły łatwo, lecz były rezultatem kilkuletniej, mozolnej pracy nad formą. Pisał o tym całkiem szczerze młody nauczyciel kowieński do swego przyjaciela Jeżowskiego: „Moje wiersze dotychczasowe, jeśli miały jaką zaletę, winny ją były po większej części językowi, czyli wydaniu, na które starannie pracowałem i w którym cokolwiek nabrałem wprawy".

Walka o piękno stylu uwidoczniła się już w młodzieńczych tłumaczeniach z Horacego, Owidiusza, Pindara i Schillera. Nosiła także ślady rozczytywania się w osiemnastowiecznej poezji polskiej a zwłaszcza czerpała z bogactwa językowego Krasickiego, Trembeckiego czy Felińskiego. Może też z tego powodu Julian Ursyn Niemcewicz, reprezentant starej generacji, pierwszy poznał się na talencie 24-letniego poety i w liście do księcia kuratora Uniwersytetu Wileńskiego zwrócił uwagę Czartoryskiego na jego imiennika, nazywając go bez wahania geniuszem. Taki jest sens sztafety pokoleń, że młodsze przejmuje cenne wartości od poprzedniego. Uznanie i zachwyt starego poety oraz podziw i uwielbienie młodych, podały sobie ręce.

Tak więc pierwsze kwiaty polskiego romantyzmu wyhaftował Mickiewicz na kanwie Oświecenia. Jak wyznał szczerze jednemu z najbliższych przyjaciół, Franciszkowi Malewskiemu, nie napisałby ballad, gdyby nie było Karpińskiego i Niemcewicza. Mickiewicz z całą pewnością zawdzięczać mógł formę swoich romansów tradycji bukolicznej siedemnastego i osiemnastego wieku.

Nowa poezja romantyczna, czyli jak ją skromnie nazwał autor „Ballad i romansów" — „poezja gminna", wzbiła się na szczyty kunsztu literackiego za pomocą dwóch skrzydeł: fantastyczności i czułości. Domeną ballady stała się fantastyka, natomiast czułość zawładnęła romansami. Lot ten wyszedł naprzeciw życzeniom ogółu inteligencji polskiej, znużonej beznamiętnymi, oschłymi racjonalistycznymi dociekaniami i jałowymi schematami dotychczasowej produkcji rymotwórczej, tęskniąc do poezji wygrzanej uczuciem, rozumiejącej prawa serca, szczerego uczucia i fantazji. Mickiewicz odczuł genialnie, jak zauważył Józef Kallenbach „pragnienia społeczeństwa a wzlatując nad martwym światem szarej rzeczywistości w rajską dziedzinę marzeń o lepszej doli narodu, olbrzymią siłą ciągnął za sobą młode pokolenie". I dlatego wiosna sprzed 150 lat otwierała złoty rozdział w dziejach literatury polskiej.

BOGDA MADEJ

NA TEMATY SPORTOWE

Spadną, czy nie spadną - pytanie nadal aktualne

Przed wiosenną rundą piłkarskich rozgrywek w pierwszej lidze, pytanie zawarte w tytule zadałam kilku łodzianom, wśród których byli również piłkarze ŁKS. Wtedy to znany i ceniony artysta-malarz, Konstanty Mackiewicz, powiedział:

„Proszę pani, wszystko się zmienia. Ja się zmienię i oni się zmienią, im ktoś nogę podstawi i mnie ktoś nogę podstawi. I jak tu można przewidzieć, kto i kiedy spadnie?"

Pan Konstanty Mackiewicz miał rację tylko w połowie, bo rzeczywiście wiele się zmieniło. Można byłoby powiedzieć, ile izb w tym czasie wybudowano w Łodzi, ile wyprodukowano metrów tkanin, o ile posunęły się prace przy budowie wodociągu Sulejów-Łódź, ale po co sięgać tak daleko, skoro wiele zmieniło się u moich rozmówców, których wypowiedzi cytowałam przed pół rokiem na łamach „Odgłosów". I tak wiceprezes ŁKS do spraw piłki nożnej — Jan Morawiec — został zastępcą przewodniczącego Prezydium RN m. Łodzi, inż. Jerzy Wrąbel, wówczas dyrektor ZM im. J. Strzelczyka, dziś jest dyrektorem Zjednoczenia Przemysłu Maszyn Włókienniczych, Włodzimierz Skoczylas zamienił Teatr Powszechny na teatr im. Jaracza, a trener „Widzewa" — Leszek Jezierski — zamienił mieszkanie. Tylko sytuacja drużyny piłkarskiej ŁKS w I lidze nie uległa zmianie. I tego pan Konstanty Mackiewicz nie przewidział.

Pytanie: spadną czy nie spadną, pozostaje nadal aktualne, chociaż swego czasu sprawozdawca sportowy „Głosu Robotniczego" — Władysław Lachowicz — posądzał mnie nawet o kontakty z wróżkami. Pytanie to powtórzyłam jednak za łódzkimi kibicami, którzy odpowiedzi oczekują przecież nie od wróżki, a od swojej drużyny. Pytanie to powtórzyłam wówczas, powtarzam je teraz i będę powtarzała dotąd, póki nie zmieni się sytuacja łódzkiej drużyny w I lidze. Kibice w Łodzi użalają się, a między innymi na łamach „Głosu Robotniczego", że muszą stale analizować koniec nie tylko zresztą pierwszoligowej tabeli. Przypomnijmy, że z drugą ligą pożegnały się w tym sezonie i łódzki „Start" i pabianicki „Włókniarz". I trudno się dziwić kibicom w Łodzi, że zazdroszczą kibicom z innych miast drużyn, walczących o miano najlepszych w kraju. Zazdroszczą oni też innym miastom klubów, które potrafiły wyciągnąć swoje drużyny z równie trudnych sytuacji. Przykładem jest tu choćby warszawska „Gwardia" albo „Stal" — Mielec, drużyna, która jeszcze dwa lata temu walczyła z piłkarzami ŁKS w II lidze a dziś zajmuje piąte miejsce w pierwszoligowej tabeli.

U nas natomiast jest zawsze dużo optymizmu. Przed pół rokiem, kiedy na łamach „Odgłosów" pytałam: „spadną czy nie spadną"?, trener piłkarskiej drużyny ŁKS, Józef Walczak, powiedział:

„Nie mam pretensji do zespołu, bo chłopcy trenują uczciwie. Grają z sercem, ale czasem kryzys przychodzi zupełnie nieoczekiwanie."

„Nie spadniemy — zapewniali mnie wówczas chłopcy z ŁKS. — **Musimy realnie ocenić nasze szanse i możliwości. Uważamy, że z tych zespołów, które razem z nami zajmują dolne pozycje w tabeli, utrzymają się te, które będą grały rozsądnie. I musimy grać rozsądnie, bo zdajemy sobie sprawę, że jak tym razem spadniemy do II ligi, to z tego upadku możemy się już nie podnieść."**

Nie spadli, ale czy udało im się zrealizować rozsądne, taktyczne założenia? Chyba nie, skoro „przodują" w negatywnej punktacji pierwszoligowej tabeli: 39 straconych bramek, tyle samo, co „Szombierki", najmniej, bo tylko trzy zwycięstwa, najwięcej, bo aż 13 remisów. I jak w tej sytuacji dziwić się pretensjom kibiców.

Cóż tu mówić o rozsądku, jeśli w przedostatnim meczu ze „Stalą" — Mielec decydującym również o „być albo nie być" ŁKS w I lidze, drużyna pozwoliła sobie strzelić aż cztery bramki — sama nie rewanżując się ani jedną. Był to wynik nie tylko „przejściowego" kryzysu, ale metody, którą można było obserwować w wielu spotkaniach. Przychodząc bowiem na mecz ŁKS nigdy dokładnie nie wiedziało się, kto i gdzie będzie grał. Można też zadawać sobie pytanie, dlaczego dopiero teraz wyszli na boisko But i Bulzacki. Ten ostatni dwa lata temu grał już w reprezentacyjnej drużynie Polski juniorów. Jeśli więc chciało się go wprowadzić do składu pierwszoligowej drużyny ŁKS, to należało to zrobić dużo wcześniej, aby dać mu możliwość zgrania się z kolegami. Wprowadzanie nowego zawodnika w ostatnich, najtrudniejszych meczach nie jest chyba dobrym posunięciem wychowawczym.

O wychowaniu i szkoleniu zawodników ŁKS trudno w ogóle mówić, bo drużyna ta nie ma naturalnego zaplecza kadrowego. Czyja to wina? Pytanie to uważam za retoryczne, gdyż nie mam nadziei otrzymać na nie odpowiedzi tak samo zresztą, jak i na kilka innych. Jedno z nich dotyczy najnowszych nabytków ŁKS. Zaimportowano — jak to się nieładnie po polsku mówi — Maleńkiego, Kasalika i Całusa, którzy nie spełnili nadziei, jakie w nich z pewnością pokładali działacze klubowi. W ubiegłym roku na obozie przygotowawczym trenował z piłkarzami ŁKS Kwaśniewski z białostockiego „Włókniarza". Po zgrupowaniu oceniono, że zawodnik ten nie nadaje się do pierwszoligowej drużyny. W tydzień później Kwaśniewski przeszedł do warszawskiej „Gwardii" i gra z dużym dla tej drużyny pożytkiem. Kogo teraz poszuka ŁKS, aby wzmocnić swoją pierwszoligową jeszcze drużynę? Wprawdzie „import" zawodników nie jest najlepszym wyjściem, bo tak zmontowana drużyna nigdy nie będzie dobrze grała, ale w sytuacji, kiedy nie ma własnych wychowanków, nie widzę dla niej innego wyjścia.

Spadną czy nie spadną? Pytanie pozostaje nadal aktualne, jeśli ŁKS będzie reprezentował w nowym sezonie piłkarskim taki poziom, jaki przeszło 35-tysięczna widownia miała okazję obserwować w ostatnim, decydującym meczu z chorzowskim „Ruchem". Wprawdzie remisowy wynik w meczu z drużyną, która będzie walczyć w turnieju UEFA, nie przynosi ujmy drużynie, która ratuje się przed spadkiem z I ligi, ale też chorzowscy piłkarze, wyjątkowo tego dnia niedysponowani i grający w poprzek boiska, stworzyli ekłaesiakom tyle okazji do strzelenia bramki, że tylko równie niedysponowana tego dnia drużyna mogła z nich nie skorzystać. Przeszło 35 tysięcy łódzkich kibiców przyszło oglądać zaciętą walkę o egzystencję w I lidze, a w zamian otrzymało widowisko, przypominające towarzyskie spotkanie dżentelmenów. Trudno się więc dziwić kibicom, że podczas meczu często okazywali niezadowolenie, a jego koniec skwitowali niepochlebnymi dla obu drużyn gwizdami. Dobrze byłoby, aby w przyszłości na takich meczach działacze ŁKS usiedli na trybunach pośród kibiców i posłuchali uwag i opinii, o sobie i o swojej drużynie. Dałoby to im z pewnością wiele do myślenia.

Jesteśmy u progu nowego sezonu piłkarskiego, a pytanie: spadną czy nie spadną?, kibice zadają sobie nadal. Nadszedł już czas, aby to samo pytanie zadali sobie zawodnicy i działacze Łódzkiego Klubu Sportowego i wyciągnęli z niego właściwe wnioski. Oby w połowie przyszłego sezonu piłkarskiego nie trzeba było tego pytania znów publicznie powtórzyć. Ja się na wszelki wypadek do tego przygotuję.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Ingrid Bergman i Anthony Quinn — te dwa nazwiska zastąpić mogą każdą reklamę filmu „SPACER W WIOSENNYM DESZCZU". Chwileczkę, czy ja się nie mylę? Legenda Greka Zorby rozsławiła imię jego wykonawcy wśród tysięcy najaktywniejszych dziś bywalców kina, ale Bergman? Ilu z nich zna jedną z największych „gwiazd" i aktorek światowego kina, najwspanialsze lata kariery Ingrid Bergman, dwukrotnej laureatki Oscara. To już przecież historia filmu. Po dwudziestu latach nieobecności w Hollywood zagrała w filmie Guy Greena znów tak pięknie, jak to robiła kiedyś.

„Spacer w wiosennym deszczu" jest bardzo piękną replik ą całej realizatorskiej ekipy scenarzysty, reżysera i aktorów, ludzi jednego pokolenia — na młodzieżową „Love Story". Zaproponowano nam romans, który, o czym z całą odpowiedzialnością za słowo donoszę, nie tyle konkurencję z „Love Story" wytrzymuje, co wychodzi z pojedynku tego zwycięsko. Porównywać te filmy można, gdyż oba wyrosły na fali romantycznych tęsknot, które dały o sobie znać wśród widzów filmowych na całym świecie. Mówi się o znużeniu seksem, o poszukiwaniu w kinie miłości romantycznej, świeżej i prostej. Hollywood, nie ustające w swych zabiegach o widza kinowego, proponuje mu zatem i „Love Story" i „Spacer w wiosennym deszczu" dba o różnych widzów, wychodząc, co tu dużo mówić, ze słusznego założenia, iż miłość nie jest zarezerwowana dla młodych.

Mamy więc w „Spacerze" miłość wieku dojrzałego, bardzo piękną i bardzo romantyczną i może dlatego, że jednak trochę dorosłą, nie aż tak sentymentalną, jak w „Love Story". Sądzę, że „Spacer" ma okazję stać się szlagierem sezonu nie tylko wśród tych, co swą pierwszą 30-tkę mają już za sobą, a to z tego powodu, że choć historie miłosne są zawsze piękne, to w kinie trzeba je jeszcze umieć opowiadać. Tej sztuki od autorów i wykonawców filmu „Spacer w wiosennym deszczu" może się uczyć jeszcze nie jedno pokolenie realizatorów i aktorów. Na takie melodramaty nawet krytycy nie mogą się wybrzydzać, choć urząd może kazałby im pomarudzić, iż scenarzysta nieco przeholował, dramatycznie puentując konflikt ojca i syna. Warto w letnie popołudnie wybrać się do kina, by nieco się wzruszyć miłosną historią ciągle jeszcze pięknej Ingrid Bergman i nieustannie żywiołowego i fascynującego Anthony Quinna, podumać o prawie do tej miłości także tych, którym młodzi, w swym egoizmie, prawa tego nie chcą dać.

* * *

Węgierski film „NARESZCIE PONIEDZIAŁEK" przenosi nas w tak inny świat, że trudno nawet o nim mówić tuż po prezentacji romansowego „Spaceru". Ponieważ to jednak w kinie sytuacja typowa, przerzućmy się i my w ten inny świat. A światem tym jest tzw. samo życie z jego codziennością i smutkiem, a więc może życie prawdziwsze.

„Nareszcie poniedziałek" jest fabularnym debiutem reżysera Gabora Kenyeresa, który filmem tym dołącza się do znamiennego w ostatnich latach dla kina węgierskiego nurtu filmów socjologizujących, sondujących różne rejony problematyki społecznej. Film ten jest historią chłopca, wracającego z wojska do swego dawnego środowiska, przedstawia pierwszy dzień jego konfrontacji z życiem i ludźmi, których przed dwoma laty opuścił. Jest to dzień rozczarowań, smutków, ale i dzień dojrzewania pełniejszego i szybszego, niźli w czasie wszystkich doświadczeń lat minionych.

Film Kenyeresa nie jest pozbawiony błędów, wśród których najbardziej może razi z góry założona teza, niemniej jest to film, który ujmuje tak szlachetnością intencji jak i niezaprzeczalną umiejętnością organizowania wyrazistych mikrosytuacji. One to mówią wiele o wewnętrznym świecie wrażliwego i uczuciowego, choć pozornie tak suchego i twardego bohatera filmu, one to niebanalnie charakteryzują małe światy ludzi, z którymi bohater nasz w dniu swej wędrówki się styka. Smutny liryzm tego filmu, obejmujący nie tylko jego postacie, ale przenikający cały obraz miasta, Budapesztu wcale nie pięknego, czyni film „Nareszcie poniedziałek" jakby prywatnym notatnikiem zapisów obserwacji niezwykle trafnych i przejmujących. Zapisy te, nieco chaotyczne, jak to w notatniku bywa, za to niezwykle szczere i prawdziwe. Niemały w tym udział ma cały zespół młodych aktorów w filmie tym występujących, a zwłaszcza doskonały Mark Zala w roli głównego bohatera.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

LADY CHATTERLEY

Nazywał ją najcudowniejszą kobietą w całej Anglii. Oddała mu się za trzecim ich spotkaniem. W dwa lata później, opuściwszy męża i troje dzieci, wyszła za niego za mąż. Ona — baronówna ze starej, zubożałej arystokratycznej rodziny niemieckiej, Frieda von Richthofen. On — wówczas nauczyciel, syn prostego górnika z Eastwood, małego miasteczka w okręgu Nottingham.

Frieda von Richthofen

D. H. Lawrence

Dawid Herbert Lawrence (1885—1930) powieściopisarz, poeta, dramaturg miał 27 lat gdy w roku 1912 poznał w Nottingham o sześć lat od siebie starszą Friedę. Była żoną profesora romanistyki Ernesta Weekley'a. Zielonooka, tęga blondynka, o ruchach leniwej kotki i niezbyt zgrabnych nogach, żywiołowo namiętna i niezrównoważona, wchodzi na trwałe w życie poety i powieściopisarza i wywiera poważny wpływ na jego twórczość. To na niej wzorować będzie Lawrence typy kobiece w swych powieściach, to ona posłuży pisarzowi jako model dla głównej bohaterki powieści „Kochanek Lady Chatterley", dzieła, które niemal aż do ostatnich lat uchodziło w Anglii za książkę skandaliczną, jeśli nie wręcz pornograficzną.

Frieda, odznaczająca się niezwykłą witalnością, dość wcześnie, jak na tamte czasy, poznała miłość pozamałżeńską i żywiła fanatyczne przekonanie, że dziedzina stosunków seksualnych winna być „wolna" po to, „aby świat w mgnieniu oka mógł się przemieniać w raj". Lawrence, wychowany przez swą matkę nauczycielkę w surowych zasadach wiktoriańskiej moralności i pruderii zbuntował się przeciw wszystkiemu do czego zmuszały go owe wpajane przez matkę zasady. Zostaje wkrótce pewcą i apologetą namiętnej, żywiołowej miłości, wolnej od wszelkiego przymusu i zakłamania. Cała twórczość Lawrence'a stanie się protestem przeciw zakłamaniu w dziedzinie płci, a głównym, powtarzającym się w jego dziełach konfliktem będzie sprzeczność między doznaniami cielesnymi a dążeniami duchowymi, między namiętnością a zasadami religii, między obowiązkami a żywiołowymi porywami seksualnymi.

Niespokojna Frieda i pełen żywotności Lawrence odbywają szereg podróży po Europie, Ameryce, Australii. Ale współżycie z Friedą nie jest bynajmniej sielanką. Posłuszna i uległa zaledwie kilka dni po ślubie, staje się często nieznośna, to wybuchając słowami namiętnej miłości, to spazmatycznym płaczem. Dochodzi do awantur i ostrej wymiany słów między małżonkami. Frieda zdradza męża, zwłaszcza gdy ten zapada na chorobę płuc. Gdy w roku 1925 lekarze rokują Lawrence'owi zaledwie dwa lata życia, Frieda szaleje z rozpaczy i kupuje mu róż, by malował sobie zbyt blade wargi. Już wtedy trwa jej flirt z pięknym kapitanem Angelo Ravagli, ojcem trojga dzieci, za którego później Frieda wyjdzie za mąż, opłaciwszy mu rozwód ze schedy po pisarzu.

Lawrence umiera w roku 1930 w Vence, niedaleko Cannes we Francji. Frieda w swym rancho w Taos (Nowy Meksyk) wzniosła kaplicę-pomnik dla uczczenia swego zmarłego męża. W roku 1935 Angelo i Frieda przewożą prochy Lawrence'a z Francji do Ameryki. Roztargniona Frieda gubi na dworcu urnę z prochami, na szczęście znajdując ją wkrótce. By uchronić ostatnie szczątki pisarza od kradzieży lub zguby, Angelo na prośbę Friedy miesza popioły Lawrence'a z piaskiem, wodą i cementem i buduje z tego cementowego bloku ołtarz, który zachował się do dziś.

Frieda umiera w 1956 w wieku lat 71.

Jakkolwiek rozmaicie układało się kilkunastoletnie pożycie Friedy z pisarzem jedno jest pewne — Frieda zawsze, aż do końca swych dni wierzyła w jego geniusz, ceniła jego twórczość i broniła jej przed wszelkimi atakami.

Niedawno Robert Lucas, angielski dziennikarz i dramaturg telewizyjny wydał książkę, tłumaczoną ostatnio na język niemiecki pt. „Frieda Richthofen. Jej życie z D. H. Lawrencem, twórcą „Lady Chatterley".

Bogata i ciekawa twórczość Lawrence nie jest obca polskiemu czytelnikowi. W zeszłym roku ukazał się zbiór opowiadań (Czytelnik, 1971) pt. „Kobieta i paw". Poprzednio w języku polskm opowiadania Lawrence'a publikowane były w latach 1930 i 1936. Tłumaczona też na język polski była bodajże najlepsza książka Lawrence'a „Synowie i kochankowie". W latach międzywojennych mieliśmy też w tłumaczeniu skróconą wersję „Lady Chatterley's Lover".

SZYBOWNICTWO W STAROŻYTNYM EGIPCIE?

Ostatnio muzeum kairskie szeroko udostępniło swoje zbiory badaczom i naukowcom. Wśród rozmaitych wykopalisk są w magazynach muzeum zbiory wydobyte na Saharze w roku 1898. Trzy lata temu w tych skarbach pustyni dr Khalil Messiha wyszukał ptaka wyciętego z drzewa sykomory. Ta mała rzeźba pochodzi z III-go lub IV-go wieku przed n.e. Jak na figurkę staroegipską jest to dziwna figurka. Nie ma na niej żadnych śladów ornamentacji, a wyobrażony ptak nie ma nóg. Co charakterystyczne — ma za to aerodynamiczny profil i ogon ustawiony pionowo. Dr Khalil Massiha zrobił dokładną kopię rzeźby i przekonał się, że ptak rzucony w powietrze doskonale szybuje. Uczony wyciągnął stąd wniosek, że już ponad dwadzieścia wieków temu, szybowce były znane w Egipcie.

Czy nie jest to zbyt pośpieszny wniosek? Czy na podstawie obiektu wyobrażającego ptaka można mówić o szybownictwie? Rzeźba jest przecież niewielka. Rozpiętość skrzydeł drewnianego ptaka wynosi osiemnaście centymetrów, a waga figurki zaledwie 35 gramów. Dr Messiha argumentuje jednak, że inżynierowie starożytnego Egiptu nim przystąpili do wykonania czy to statków czy wozów bojowych sporządzali przed tym makietki tych konstrukcji. Tak więc i odnaleziony drewniany ptak mógł być właśnie makietką szybowca. Do dziś przecież szybowiec przypomina w swej sylwetce szybującego ptaka z rozpiętymi skrzydłami, kanię, tak dobrze znaną nad wodami Egiptu. Jeżeli więc była to makieta szybowca, rozumuje dr Massiha, musiały być i szybowce. Przeciwnicy tej teorii twierdzą jednak, że niemal całe życie starożytnego Egiptu znalazło swe odzwierciedlenie na płaskorzeźbach. Widzimy na nich egipskie statki, różnego typu, widzimy wozy, ale nigdzie nie znajdujemy szybowców. Owszem często na niebie szybują ptaki, kanie.

MACHARBEK TUGANTI

W jednym z ostatnich numerów radzieckiego miesięcznika poświęconego sztukom plastycznym, „Iskusstwo" znajdujemy m.in. artykuł zatytułowany „Macharbek Tuganti i sztuka osetyńska" poświęcony omówieniu działalności plastycznej jednego z najwybitniejszych artystów Gruzińskiej SRR.

Twórczość Macharbeka Tuganti (Tuganowa) (1870 — 1952) związana jest ściśle z ogólnym rozwojem sztuk plastycznych w Osetii w Gruzji.

Artysta urodził się w rodzinie inteligenckiej, jego ojciec miał wykształcenie uniwersyteckie. Macharbek Tuganti od najmłodszych lat przejawiał wybitne zdolności plastyczne. Toteż studiuje najpierw w petersburskiej Akademii Sztuk pod kierunkiem słynnego malarza rosyjskiego Riepina, później wyjeżdża za granicę by w Monachium doskonalić swój talent artystyczny. Po tych studiach wraca na Kaukaz, gdzie nie tylko uprawia malarstwo i grafikę, ale poświęca się również pracy pedagogicznej. Z założonej przez niego szkoły plastycznej wyjdzie następnie kilku wybitnych malarzy.

Tugunti zafascynowany jest folklorem i historią ludów Gruzji toteż zbiera wszelkie przejawy tego folkloru i z zapałem ilustruje ludowe eposy. Głównym, niemal, że wyłącznym tematem jego malarstwa i grafiki stają się epizody z bohaterskich walk wolnościowych ludów Gruzji w XVIII i XIX wiekach. Utrwala na swych płótnach życie, stroje i obyczaje ludów Kaukazu i Zakaukazia. Pozostawił po sobie mnóstwo ilustracji do podań i legend. Jego dzieła odznaczają się ogromną oszczędnością i ekspresywnością środków wyrazu.

M. Tuganti — Ilustracja do jednej z legend

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU „WSZYSTKO O KSIĄŻCE"

Przeszło 600 odpowiedzi nadesłali Czytelnicy na nasz wiosenny konkurs ogłoszony wspólnie z Wojewódzką Biblioteką Publiczną z okazji Międzynarodowego Roku Książki i Dni Oświaty, Książki i Prasy — „Wszystko o książce".

W wyniku losowania nagrody ufundowane przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną oraz Zarząd Wojewódzki ZMS wylosowali:

LEKSYKONY PWN:

1. Izabella Świątkowska, Łódź, al. Kościuszki 24 m. 4
2. Jan Budziński, Łódź, ul. Tokarzewskiego 37
3. Irena Jagiełło, Pabianice, ul. Moniuszki 51
4. Iwona Krajewska, Zduńska Wola, ul. Konstytucji 22 Lipca 28
5. Jerzy Henryk Koselski, Wierzbica, ul. Radomska 72, pow. Szydłowiec, woj. kieleckie

KOMPLETY PTŁYT DO NAUKI JĘZYKÓW OBCYCH:

1. Krzysztof Bartczak, Łódź, Narutowicza 69 m. 8
2. Zdzisław Pakowski, Łódź, ul. Kadłubka 16/20 m. 52
3. Krystyna Gadomska, Kolumna, pow. Łask, ul. Graniczna 12
4. Jerzy Lech Ciesielski, Poznań, ul. Łozowa 81 m. 15
5. Barbara Mosińska, Rydzynki 44, p-ta Rogów, pow. Łódź

BONY KSIĄŻKOWE WARTOŚCI 100 ZŁ KAŻDY:

1. Zbigniew Ochocki, Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. 31 m. 5a
2. Leszek Malański, Łódź, ul. Traktorowa 53 m. 10
3. Anna Cichowicz, Łódź, ul. Kilińskiego 127 m. 8
4. Witold Jung, Łódź, ul. Kasprzaka 4 m. 29
5. Anna Andrzejewska, Łódź, ul. Srebrzyńska 81 m. 14
6. Romuald Ślązak, Łódź, ul. Żubardzka 18 m. 60
7. Krystyna Śmiechowska, Łódź, ul. Grabieniec 11
8. Fryderyk Pusz, Piotrków Tryb., ul. Sulejowska 35
9. Zenon Kalemba, Pątnów, pow. Wieluń
10. Hanna Rutkowska, Zator, p-ta Puszcza Mariańska, pow. skierniewicki
11. Zdzisława Okrojek, Pabianice, ul. Kościuszki 11 m. 3
12. Barbara Rosińska, Walichnowy, pow. Wieruszów, ul. Słoneczna 8
13. Sławomir Mialski, Bolimów, pow. Łowicz, ul. Senatorska nr 7
14. Elżbieta Urban, Zduńska Wola, ul. Spółdzielcza 12a
15. Karol Nicze, Pabianice, ul. Wiejska 30 m. 2.
16. Krystyna Grabska, Pabianice, ul. Żelazna 18
17. Tadeusz Misztal, Kutno, ul. Zamenhofa 13/14
18. Grażyna Chwał, Kowale 115, p-ta Praszka, pow. Wieluń
19. Danuta Muras, Zduny, ul. Retki 18, pow. Łowicz
20. Władysław Lubnar, Zgierz, ul. Narutowicza 1
21. Stefania Murkocińska, Rzeszów, ul. Słowackiego 11 m. 39
22. Tadeusz Manowski, Warszawa, ul. Archiwalna 9 m. 7
23. Maria Marczak, Otwock, ul. Świerkowa 11
24. Zenobia Pieśniak, Warszawa, ul. Racławicka 25 m. 10
25. Leszek Chmielewski, Wrocław, ul. Drukarska 24a

Nagrody zostaną przekazane zwycięzcom konkursu przesyłką poleconą przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną.

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

PISARZE WSPÓŁCZEŚNI

LEKSYKON BESTSELLEREM — KSIĄŻKA AKTUALNA — SŁOWNIKOWE ODKRYCIA — GDZIE SIĘ KTO URODZIŁ? — KRYMINALNE PSEUDONIMY — ZAJMUJĄCA LEKTURA — WARTO KUPIĆ.

„Polscy pisarze współcześni" — informator Lesława M. Bartelskiego stał się przed dwoma laty bestsellerem. Nikogo to specjalnie nie zdziwiło, bo istnieje wśród czytającej społeczności ciągłe zapotrzebowanie na wszelkiego rodzaju leksykony, słowniki i informatory. Praca Bartelskiego była zresztą publikacją jedyną w swoim rodzaju, nic więc dziwnego, że wzbudziła zainteresowanie.

Nic też dziwnego, że autor podjął trud ponownego, aktualnego opracowania informatora i obecnie mamy drugie, poszerzone wydanie, obejmujące 25-lecie polskiego pisarstwa. Publikacja zawiera około 1200 haseł pisarzy wraz z bibliografią wydanych książek, doprowadzoną do grudnia 1970 roku. Jest to więc książka, jak na nasze warunki niezwykle aktualna, uwzględnia bowiem pozycje opublikowane zaledwie przed półtora rokiem.

Jak wiadomo wszelkie antologie jak i słowniki biograficzne zawsze budzą spory i wywołują pretensje. Bierze się to stąd, że każdy, jako tako wprowadzony w zagadnienie czytelnik, ma swoją wizję i swoje kryteria, które chciałby znaleźć na kartkach książki. Autor jednakże, aby nie zgubić się w materiale i zrealizować publikację przejrzystą, musi przyjąć określone kryteria nie zawsze tożsame z pragnieniami czytelników. Stąd tyle było uwag i dobrych rad pod adresem Bartelskiego, gdy ukazało się pierwsze wydanie „Polskich pisarzy współczesnych".

W niniejszym felietonie nie będzie zatem ani słowa na temat, kogo w książce zabrakło i dlaczego. Natomiast operując materiałem zebranym przez Bartelskiego, przedstawię czytelnikom parę „odkryć" dokonanych przy wielogodzinnej lekturze książki.

Obliczyłem na przykład, że 44 współczesnych aktualnie działających pisarzy, urodziło się w Łodzi. Czy to coś znaczy? Oczywiście nic, jeśli zważymy, że w maleńkiej Dębicy w Rzeszowskiem urodziło się aż pięciu. Jeśli jednak którejś matce zależy, aby dziecko było pisarzem, niech nie jeździ do Dębicy. Lepszą gwarancję daje Warszawa i Kraków. Prawie połowa prezentowanych w słowniku Bartelskiego pisarzy urodziła się w tych miastach. Ale — rzecz ciekawa — Stanisławów, który nie jest i nigdy nie był metropolią, jest miejscem urodzenia aż 12 pisarzy.

Ciekawe są „odkrycia", dotyczące pseudonimów niektórych pisarzy. Oto okazuje się, że pewien bardzo hermetyczny i subtelny liryk napisał jako Umberto Pesco wstrząsający kryminał „Ryba płynie za mordercą". Okazuje się, że Maurice S. Andrews to Andrzej Szczypiorski, Noel Randon to Tadeusz Kwiatkowski, nie mówiąc już o znanym fakcie, że zasłużony tłumacz Joyce'a, Maciej Słomczyński, pisze również jako Joe Alex. Głośna była też swego czasu opowieść Teodora Klona „Miałem tylko jedno życie". Ludzie gubili się w domysłach, kto napisał owe wstrząsające zwierzenia alkoholika. Okazuje się, że autorem jest znany publicysta, kompozytor i prozaik. Dowiadujemy się, że prezes TV, Włodzimierz Sokorski, debiutował przed wojną powieścią „Rozdarty bruk", ogłoszoną pod pseudonimem Andrzej Sokora.

Może ktoś powie, że wyciągam drobiazgi, rzeczy nieistotne, przecież słownik ma cele i zadania poważniejsze. Oczywiście. Wygrzebując jednak te ciekawostki, chcę dowieść, że informator Bartelskiego obok swych funkcji zasadniczych jest także bardzo zajmującą lekturą. Ileż mogą powiedzieć miejsca urodzeń pisarzy, kierunek studiów, charakter zawodowej pracy, bo przecież znakomita większość z prezentowanych tu 1200 pisarzy nie żyje z literatury, uprawia działalność zawodową nieraz bardzo odległą od pisarskiej profesji.

Ciekawa jest to książka i niezależnie od uwag krytyków, którzy na pewno coś tam znajdą na „nie" lub „dlaczego?" — warto ją mieć w swojej podręcznej bibliotece. Książka jest bowiem nieocenionym źródłem dla dziennikarzy, wydawców, księgarzy, bibliotekarzy, działaczy kulturalnych, a także dla szerokich kół czytelniczych, zwłaszcza dla uczącej się młodzieży.

JERZY WIDOK

REX WARDEN

Zagadkowe morderstwo

OSOBY:

Ed Chambers, jego żona Lucy (zamordowana),
Sąsiedzi Chambersów:
Len Stewart i jego żona Nell,
Walter Sullivan i jego żona Irena,
Jim Babson i jego żona Nancy.

— Szefie — rzekł porucznik Hogan, który prowadził śledztwo. — Lucy Chambers nie żyje, ktoś ją zastrzelił. Mąż jest przerażony, ciągle powtarza, że okna i drzwi były od wewnątrz zamknięte na zasuwkę, gdy wrócił do domu o 23.

— Proszę mi zreferować czego się pan dowiedział od sąsiadów — zażądał kapitan.

— Zbadałem sześć osób i... usłyszałem sześć różnych historii.

— Co mówili?

— Opowiem po kolei — zaczął Hogan. — W pierwszym domu znalazłem w ogrodzie nagą kobietę.

— Co?!

— Opalała się. Gdy mnie spostrzegła zarzuciła na siebie ręcznik kąpielowy i zaprosiła na werandę...

— Napije się pan dżinu? — zapytała pani Nell Stewart, zgrabna, młoda blondynka. — Tęskniłam za kimś, nie miałam ochoty pić sama.

— Dziękuję, nie piję alkoholu w czasie służby — odpowiedział Hogan (tak przynajmniej zreferował to kapitanowi). — Muszę zadać pani kilka pytań na temat wczorajszego wieczora. Czy pani zna Eda Chambersa? Jego żonę Lucy?

— Naturalnie! — krzyknęła blandynka. — Lucy, to przemiłe stworzenie!

— Czy widziała pani wczoraj wieczorem pana Chambersa?

— Naturalnie! To on przygotowywał pieczeń!

— Jaką pieczeń?

— Tę, którą upiekliśmy w przewodzie gazowym na ulicy. Coś się popsuło w domach i Walter Sullivan, nasz sąsiad, założył się, że znajdzie tę dziurę. Wziął więc świecę, zapalił i poszedł szukać dziury. I nagle... myśleliśmy, że nastąpiło trzęsienie ziemi! Pokazał się wielki płomień, lecz po chwili zmniejszył się do błękitnego płomyczka. Naturalnie w domu nikt nie odważył się zapalić gazu, więc zdecydowaliśmy, żeby upiec prosiaczka w otworze gazowym na szosie. Nawet był niezły, tylko mięso miało dziwny smak.

— Pani Stewart — wtrącił surowo policjant. — To nie jest sprawa do strojenia żartów!

— O, nie, racja! — przyznała kobieta. — Zbrodniarz musi być aresztowany. Byliśmy tam wszycy, prócz Lucy Chambers. Biedaczka, została w łóżku, miała swój zwykły atak migreny. Przeważnie wtedy, jak mąż wychodził z domu.

— A jednak nie został z wami przez cały wieczór. Mówią, że wyprowadził psa na spacer.

— No tak, pobiegł do domu, zobaczyć, jak się czuje biedna Lucy... i zastał ją nieżywą.

— Może sam ją zabił? — zauważył porucznik.

— Nie powiedziałabym. Musielibyśmy usłyszeć huk wystrzału. Policja przyszła po dziesięciu minutach i lekarz stwierdził, że Lucy zmarła przed godziną...

Hogan był zniechęcony. Kobieta kłamała, zresztą wszyscy w tej sprawie kłamali.

Wstał, żeby już odejść, gdy pojawił się pan Stewart.

— Len, przedstawiam ci porucznika Hogana, z policji.

— Co pan sobie życzy?

— Mam kilka pytań. Czy pan widział wczoraj Eda Chambersa?

— Eda Chambersa? Przecież go nie widzimy już od tygodnia.

— Czy to znaczy, że pan nie brał udziału we wczorajszym pikniku?

— Jaki piknik? Moja żona i ja byliśmy na brydżu u państwa Sullivan. Jedliśmy u nich kolację, wspaniały befsztyk z młodymi kartofelkami.

Hogan zmierzył lodowatym spojrzeniem zgrabną blondynkę.

— Może pani pomyliła daty? Piknik z pieczenią był może innego wieczoru?

— Nie, właśnie wczoraj — odpowiedziała spokojnie Nell.

— Jak to? Nie grała pani w brydża?

Stewart przerwał mu z niecierpliwością w głosie:

— Poruczniku, proszę zapytać Sullivanów. Piknik bez mojej obecności jest nie do pomyślenia.

Hogan spojrzał z wściekłością na panią Stewart, lecz kobieta wyciągnięta na materacu smacznie spała.

Panią Sullivan zastał na tarasie w trakcie malowania. Kolorowy temat na sztalugach przypominał żołądek ryby.

Hogan wyjaśnił cel wizyty.

— Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pani zechciała opowiedzieć, co pani robiła wczoraj wieczorem.

— A co to pana obchodzi? — przerwała mu szorstko. — Nie jestem oskarżona. A może jestem?

Porucznik westchnął. — Nie, lecz pan Chambers mówi, że poszedł na spacer z psem. Pani Stewart twierdzi, że urządziliście sobie piknik a zaś jej mąż powiedział, że był z żoną u pani na brydżu.

— Jakie bzdury! Nigdy w życiu nie grałam w brydża. To strata czasu.

— A może państwo braliście udział w pikniku?

— Udaliśmy się wraz z Babsonami do miasta i po zjedzeniu obiadu w „Niebieskim Lisie" poszliśmy do kina... „Luna", jeżeli się nie mylę. Wyświetlali film francuski, taki raczej pośledni, wie pan...

— Wczoraj wieczorem? Czy pani jest tego pewna? — nalegał porucznik.

— Jak najpewniejsza! Lecz oto idzie mój mąż, proszę go zapytać, jeżeli pan nie wierzy.

Dystyngowany pan z fajką rzekł:

— Wczoraj wieczorem? Poszliśmy łowić ryby, lecz wszystko nam się nie udawało. Zepsuł się samochód, zapomnieliśmy zabrać kostiumy kąpielowe, nie złapaliśmy ani jednej ryby. O 21 wróciliśmy do domu zmęczeni, zdenerwowani...

Nancy Babson była czarującą, rudowłosą kobietą. W dżinsach i golfie grabiła zapuszczony ogród.

Uśmiechnąwszy się do porucznika zapytała:

— Czy pan się zna na petuniach?

— Nie wiem nic na ten temat. Proszę mi powiedzieć, czy pani była wczoraj wieczorem z mężem i z państwem Sullivan w kinie?

— Skądże! Byliśmy na pikniku i strasznie się przeziębiłam.

Hogan podskoczył, jakby go ugryzła osa.

— Piknik?! Gdzie?!

— U Stewartów — odpowiedziała Nancy. — Było tak przyjemnie! Walter Sullivan przysięgał, że czuć gaz.

— Tak, tak. I wziął świecę...

— Skąd pan o tym wie?! — krzyknęła Nancy. — Pan jest cudownym policjantem!

— A potem Ed Chambers upiekł prosiaka na płomieniu gazu uchodzącego z rury.

— Chambers? On wcale nie umie gotować. To mój mąż zajmował się pieczenią.

— Byliście pewnie wszyscy pijani — jęknął zrozpaczony Hogan.

— Może i tak, ale...

Wtem zjawił się pan Babson. Mężczyzna czerstwy, jowialny, zadowolony z siebie.

— Co się tu dzieje? — zapytał uśmiechając się.

Hogan powtórzył jeszcze raz całą historię i dodał:

— Teraz nareszcie, wiemy, że piknik...

— Jaki piknik? — przerwał Babson.

Hogan zbladł. Słabym głosem wyszeptał:

— Wczoraj wieczorem, u Stewartów...

— Nic o tym nie wiem, że u Stewartów był piknik. Wczoraj wieczorem graliśmy w brydża u Sullivanów.

— Ależ pani Sulliavan nie gra w brydża!

— Nie gra w brydża? W zeszłym miesiącu wygrała dwa turnieje. A wczoraj wieczorem zainkasowała sześć banknotów. Tak się zdenerwowałem z powodu tego szlema w pikach!...

☆ ✳ ☆

Kapitan policji wysłuchawszy raportu porucznika Hogana wstał, przeciągnął się i oznajmił:

— Sześć osób, sześć różnych historii. Zapytamy ich wszystkich razem, musimy dowiedzieć się prawdy!

Konfrontacja sześciu świadków nie przyniosła nic konkretnego. Ani pochlebstwa, ani groźby nie zmieniły stanowiska przyjętego przez Sullivanów, Stewartów, Babsonów. Na takiej podstawie nie można było nikogo oskarżyć o zabójstwo Lucy, brakowało dowodów i motywu przestępstwa. Sprawę Chambersów odłożono do archiwum.

Upłynął prawie rok, gdy Hogan przechodził znów koło rurociągu gazowego. Dziury już nie było, wymieniono przewody.

Porucznik wstąpił do domu Stewartów, przywitała go pani Nell.

— Proszę wejść, co pan tu robi?

— Prosta ciekawość — odpowiedział Hogan. — Teraz, gdy sprawa Chambersów jest zamknięta, chciałbym dowiedzieć się, jak to było naprawdę wówczas.

— Hm, obecnie już nikomu nie można zaszkodzić — mruknęła Nell. — Zabójca nie żyje, a więc...

— Nie żyje? — zdumiał się Hogan.

— Marskość wątroby. Mogę więc powiedzieć prawdę. Owego wieczora był piknik, ale nikt z nas nie miał murowanego alibi i postanowiliśmy zrobić trochę zamieszania, żeby policja nie wtrącała się do naszego prywatnego życia.

— Wszyscy pewnie wiedzieliście, kto był winny?

— Naturalnie. Tylko jeden z nas umiał kucharzyć i gdy znikł, czekaliśmy, aż powróci.

— Dlaczego ją zabił? — zapytał porucznik.

— Już od dawna spotykał się z Lucy. Lecz ta kobieta zachorowała na kompleks winy. Psychiatra jej doradził, że uwolni się od tego, gdy wyzna swą winę mężowi. Lucy powiedziała o tym kochankowi, a ten przeraził się. Miał klucz od jej mieszkania i gdy upewnił się, że wszyscy zajęci są piciem whisky... Ed Chambers nie zajmował się nigdy wyprowadzaniem psa na spacer. Pobiegł tam i zobaczył zwłoki...

— Lecz kto jest zabójcą? — denerwował się policjant.

W tym momencie wszedł do pokoju mężczyzna niosąc w obu rękach napełnione kieliszki.

— Pan zna mojego męża, prawda? — zapytała Nell.

— Tak... Ale to jest pan Ed Chambers. Co się stało z...?

— Z biednym Lenem? — rzekła poważnie pani Stewart.

— Zmarł kilka miesięcy temu, biedaczek, Marskość wątroby. Mówiłam już panu.

Hogan z trudem opanował uczucie mdłości i wyszeptał:

— Marskość wątroby... A więc zbrodniarzem był pani mąż?...

Wychodząc odwrócił się nagle.

— A broń? Gdzie ją schował?

Nell pociągnęła łyk whisky i rzekła.

— W otworze gazowym. Lecz otwór został zamknięty, rury wymieniono. A poza tym mój mąż nie żyje...

Oprac. A. S.

Lewym okiem

PACHOŁKU, POSADŹ GOŚCIA NA STOŁKU

Na temat brody męskiej można by napisać całe potężne dzieło historyczno-obyczajowe i na pewno Niemcy dzieło takie stworzą. Oni kochają się w takich „historycznych" monografiach o nocniku w przekroju dziejowym (autentyczne), o łóżku, widelcu, zwierciadle, o roli perfum w życiu kobiety i o zezowatych mańkutach w starożytności. Brody są modne, brody się nosi, brodom wypada przecież poświęcić nieco uwagi.

W dzieciństwie straszyły mnie ze ścian pokoju dwie straszliwie brodate twarze, które dużo później okazały się Tołstojem i Kraszewskim. Nie wiem, dlaczego akurat ci dwaj wisieli po obu stronach lanszaftu, na którym grono żniwiarzy wracało wśród łanów zboża do dymiącej w oddali chatki. Sterta kalendarzy Gebethnera i Wolffa z lat gdzieś począwszy od wojny japońskiej pełna była zdjęć namaszczonych brodaczy, w „Tygodniku Ilustrowanym" grupy ustawione szeregiem obejmowały wyłącznie starych mężczyzn z ogromnymi brodami na wypiętych brzuchach. Byłem przekonany, że świat tuż przed nami, ten ledwie miniony, był światem groźnych starców. Wygoleni bywali tylko lokaje i kelnerzy, ale tych rysował najwyżej Kostrzewski, ich się nie fotografowało.

Później były już tylko małe, snobistyczne bródki nielicznych dziwaków, profesorów kaligrafii, rejentów i lekarzy. Młodość zaczynała rosnąć w cenę, dewaluował się szacunek dla zrzędnej, zarozumiałej starości.

Aż nagle — jak na wielu innych odcinkach — i tu wszystko się pogmatwało: właśnie broda stała się w ostatnich latach atrybutem młodości! Jak najbujniejsza, dzika, niekontrolowana. Rośnie sobie jak chce, a wraz z nią włosy, wąsy, baki — sama kudłatość, samo uwłosienie. Podobno miało to być buntem przeciwko porządności, układności, konformizmowi świata dorosłych. Wypada dbać o swój wygląd, poświęcać mu sporo uwagi i pracy, żeby być takim jak wszyscy, schludnym, spartańskim, czystym? No to nie będziemy. Będziemy zmierzwieni, zachwaszczeni, zabnegowani. Na złość konwenansom i modom powstał — bo jakże by mogło być inaczej — nowy konwenans i moda. Może trochę przyczyniły się do tego legendy partyzanckie, fason marynarzy z łodzi podwodnych, Fidel Castro i stawiający na „epater le bourgeois" — piosenkarze.

Śmieszył nas przed dziesięciu laty Hindus, jadący w Wyścigu Pokoju z długą czarną brodą. Dziś po wszystkich stadionach świata ganiają sami brodacze, żołnierze szwedzcy noszą włosy do połowy pleców, nawet zachodnioniemiecka Bundeswehra po dwuletniej dyskusji w prasie zdecydowała w końcu skrócić grzywy gefrajtrów i leutnantów o parę zaledwie centymetrów, zostawiając dziewicze baki i brody.

Francuski historyk kultury, Mandrou, twierdzi, że golenie bród weszło w modę po raz pierwszy w wieku XIII i to na skutek tego, że rycerstwo zakuwało się wówczas coraz szczelniej w przyłbice i hełmy. Brody i włosy mogły się przytrzasnąć, hełm mógł się nie dopiąć — dawaj, zaczęto golić. Hipoteza to barwna, ale nieprawdziwa: boć przecie Rzymianie golili się na gładko, wcale nie używając przyłbic. Tuwim wyszperał gdzieś w starych szpargałach i ogłosił w swym słynnym „Cicer cum caule" wiadomość, że Hiszpanie zaczęli nosić prostopadłe bródki za panowania Maurów, po to, aby bródki wraz z wąsami składały formę krzyża i stanowiły charakterystyczną oznakę chrześcijan. Wyżsi oficerowie niemieccy za kajzera Wilhelma usztywniali wąsy brylantyną i formowali je w kształt litery „W" na znak swej lojalności dla Wilusia. „Kalendarz Polityczny Królestwa Polskiego" z roku 1826 podaje, że w ówczesnej Warszawie funkcjonowało tylko 24 fryzjerów, a na przykład froterów — 30, akuszerek — 109, właścicieli bilardów — 104. Widać akuszerki częściej były potrzebne niż fryzjerzy, dzisiaj ich miejsce zajmą być może masażystki i piosenkarze. Młody człowiek śpiewa na pewno częściej, niż goli brodę. Na jakiś czas fryzjerzy albo ograniczą się do czesania, tapirowania i przymierzania peruczek paniom, albo zmienią zawód. Szkoda. Bywali wśród nich nawet poeci. O jednym takim pisał „Kurier Świąteczny" w 1876 roku (podaję znów za „Cicer cum caule"), że przemawiał do klientów wyłącznie wierszem: „Pachołku, posadź gościa na stołku". „Ja nie jestem bydlę i wiem jak pana mydlę". „Niech pan nie stęka, będziesz ogolony jak panienka". „Proszę siedzieć sztywno, jak drywno".

A żeby nikomu krzywda się nie działa, przypomnijmy na zakończenie dwie złośliwe fraszki — jedną pod adresem długowłosych (Franciszka Łoskiego z XVII wieku):

Niech włosistych o łysych koncepty się roją,
głowy ludzkie r o z u m e m, nie włosami stoją.
Okryje rozum głowę, byś ją miał, jak dłonią,
lecz jego niedostatku włosy nie zasłonią;

— drugą pod adresem łysych (Wespazjana Kochowskiego, również z XVII wieku):

Łeb goły jak kolano gdy widzę u ciebie,
łysku, muszęć tak wróżyć, że nie będziesz w niebie.
Bo gdy do nieba pójdziesz z tym łbem twoim gładkim,
zepchną cię święci, mówiąc, że tam leziesz zadkiem...

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jerzy Wawrzak (redaktor naczelny), Karol Badziak, Konrad Frejdlich, Roman Łoboda, Andrzej Makowiecki, Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański, Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1509. D-7.